№ 18. Warszawa, dnia 18 (30) Kwietnia 1887 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

KRONIKA PARYZKA.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

(Dokończenie.)

W teatrze Bouffes parisiennes, przedstawiono w tych dniach po raz pierwszy, operetkę, która niewątpliwie ukaże się wkrótce w Warszawie, a w Paryżu pozyska popularność jak córka pani Angot i inne sztuczki w tym rodzaju pełne werwy francuzkiej.

Tytuł operetki: *La gamine de Paris*. Nie wiemy doprawdy jak go przetłomaczyć. Niegdyś *Le Gamin de Paris* przepolszczono na *Ulicznika paryzkiego* ale dla dziewczynki sympatycznie pojętej odpowiedni tytuł nie właściwy, nazwijmy ją też *Mieszczaneczką paryzką*.

Treść libretta mało znacząca. Rzecz dzieje się w roku 1841.

Mała mieszczaneczka Titina Pepin, żywa, wesolutka jak ptaszyna, gotowa zawsze poświęcić się dla drugich jest córką tandeciarza. Ojciec ma sklepik na targowym placu Temple obecnie zamienionym w piękny skwar, wysadzany drzewami. Titina idzie za malarza Romulusa, dziś właśnie weselne jej gody, ale dobra dzieweczka zapomina o sobie, aby spełnić dobry uczynek. Dowiedziała się, że młoda panienka z arystokratycznego przedmieścia, zmuszona do wstrętnych związków ze starym księciem, uciekła potajemnie z domu ciotki, u której się wychowywała. Towarzyszy jej młody kuzynek zakochany w niej i nawzajem miły jej sercu. Panna Celina nie ma nic oprócz kosztownych biżuteryi, kuzynek też o ile bogaty w uczuciu, o tyle ubogi w złoto. Zatrzymują się w Temple w sklepiku jubilera, sprzedają brylanty. Spostrzegła to policya, aresztuje podejrzanych zbiegów, przywołuje w pomoc gwardyą narodową. Titina pełna współczucia dla panienki, miesza się w sprawę, błaga strażników i gwardzistów, poręcza własną osobą i wreszcie w końcu wymogła, tak ich umiała przekonać, że pozwalają na to, aby ona sama odprowadziła panienkę do arystokratycznego domu ciotki. W domu tym gwarno i wesoło. Ciotka Celiny baronowa Tepida de Roche aux Monettes, przyjmuje całą arystokracyą, wyprawia ucztę, w przeddzień zaślubin siostrzenicy. Anonsują kolejno różne markizy, księżne i hrabiny, lordów i ambasadorów.

Mieszczaneczka pomimo tłumu gości dociera do baronowej, przyprowadza jej Celinę. Baronowa przebacza z warunkiem, ze panienka odda rękę wstrętnemu księciu. Biedna Titina, nie zbyt grzecznie wyprawiona z domu, nie oddaje przecież za wygraną. Wymyśla nowy sposób. Powraca tu ze swym orszakiem weselnym, przebranym na muzykantów, sama występuje jako śpiewaczka. Ubrała się w suknię jedwabną, którą ojciec tandeciarz, tylko co kupił od pokojówki baronowej. Otóż w kieszonce Tetina znalazła liścik, bardzo kompromitujący ciocię. Figlarna dzieweczka, odda ów liścik, nie wyda tajemnicy, z warunkiem że Celina uwolnioną będzie od nienawistnych związków i odda rękę temu, kto od dawna pozyskał jej serce.

Sztuczka ta mimo nieprawdopodobnych sytuacyi żywo zajęła publiczność. Śpiewki i dueta lekkie wesołe, pełne werwy, przebiegają dziś cały Paryż, Motiwa ogólnie się podobały. Wszystko to wróży iż mieszczaneczka paryzka nie prędko ustąpi z repertuaru.

* * *

Kiedy w roku zeszłym Paryż obchodził stuletnią pamiątkę urodzin słynnego w świecie naukowym

Chevreula, Towarzystwo autorów dramatycznych przypomniało członkom swoim, że ma w gronie kandydata do podobnej uroczystości, przypadającej na rok 1887. Był nim dziekan tegoż towarzystwa, Henryk Dupin, autor licznych wodewillów i komedyo oper, niegdyś rzęsistemi obsypywanych oklaskami. Zachodziła tu jednak wątpliwość. Jedni utrzymywali, że Dupin skończył lat dziewięćdziesiąt dziewięć, inni że zaczął rok dziewięćdziesiąty szósty. Przyszły jubilat zagadniony po kilkakrotnie, odpowiadał w sposób wątpliwy. Pragnął widocznie uchodzić za młodszego, zapowiedziana uroczystość budziła w nim smutek i trwogę.

Żwawy to był staruszek. Codzień po południu widywano go na wielkich bulwarach. Przechadzał się po trotuarze, między Operą komiczną a Teatrem rozmaitości. Były to dwie areny, świadki dawnych jego tryumfów, pełne drogich dla niego wspomnień.

Na scenie tegoż samego teatru Rozmaitości, w roku 1808, blizko ośmdziesiąt lat temu, odegrano pierwszy jego wodewil p. t. *Podróż do Chambord.* Po tej szczęśliwej próbie nastąpił długi szereg wesołych ale dalekich od swawoli sztuczek, zgodnych z panującym podówczas smakiem. Odegrano ich przeszło dwieście. Wiele z nich tłomaczono na rozmaite języki, niejedna zapewne dziś zapomniana, wywoływała szczery śmiech warszawskiej publiczności. Do pięćdziesięciu sztuk ułożył w kollaboracyi ze Skriebem, z którym łączyła go serdeczna przyjaźń, Skriebe pisał dyalogi prozą, Dupin układał śpiewki pełne humorystycznej werwy.

Kilka tygodni temu widywano jeszcze na bulwarze włoskim staruszka ubranego starannie, z bukiecikiem fiołków zatkniętym za guzik, obok czerwonej wstążeczki, zaszczytnie wysłużonej. Później znikł z przed oczu przechodniom, aż nakoniec kilka dni temu rozległa się wieść o jego śmierci.

W wielki piątek pochowano go na cmentarzu Pere la Chaise. Towarzystwo autorów dramatycznych odprowadziło trumnę zasypaną wieńcami, pozostały syn szanując pamięć związków łączących go ze Skriebem, przygotował mu grób, tuż przy grobowcu współpracownika i przyjaciela.

Po śmierci dopiero rozstrzygnęła się wątpliwość co do wieku zmarłego. Zaczął rzeczywiście rok setny. Swiadczy o tem, wynaleziony świeżo list do jednego z przyjaciół. Ciekawy ten list ogłosiły dzienniki i my go powtarzamy.

„Żądasz ode mnie, mój drogi szczegółów o księżnie de Lamballe (damie dworu Maryi Antoniny), pragnę cię zadowolnić o ile to w mocy mojej. Chcącemu nie ma nic trudnego. Aby dojść do rzeczy, muszę rad nie rad potrącić o znane fakta, racz mi to łaskawie przebaczyć.

„Urodzony 1 Września 1787 roku, widzisz, że z daleka zaczynam, liczyłem w 92 roku około lat sześć, ale już w główce mojej rysowały się żywo wrażenia, które miały w niej przetrwać. Znasz tę władzę pamięci mojej, skoro się dziś do niej odwołujesz.

„W roku 1792, matka moja zajmowała w domu przy bulwarze Temple, kilka pokoików na dole. Okna wychodziły na Bulwar. W tym domu jest dziś kawiarnia turecka.

„Oto cały bieg wypadków. Zmierzch zapadał... Nagle słyszymy w ulicy przeraźliwy krzyk niby wycie i naszczekiwanie wściekłej tłuszczy. Straszliwa chmura pędziła na Bastylią.

Matka uciekła do dalszego pokoju, przerażona zapomniała o mnie.

Nie rozumiejąc a zatem nielękając się niebezpieczeństwa stałem spokojnie w oknie, wlepiam oczy w tłum, widzę jak niosą głowę kobiety zatkniętą na lancy. Była to głowa księżnej Lambale. Aby nie pozostawić wątpliwości, przystrojono ją wytwornie, według przyjętej przez nią mody. Oczy miała otwarte, włosy zczesane do góry, ułożone w pukle, posypane pudrem, przystrojone w pióra i kwiaty, piętrzyły się piramidalnie: tak ją widywano utrefioną za życia.

Śliczna to była głowa, ale niestety głowa umarłej zatknięta na pikę.

Mam jeszcze przed oczyma tę głowę, bo ten kto ją niósł zbliżył ją do okna, aby mnie przestraszyć. Tłuszcza śmiała się przeraźliwie. Ten śmiech okropne sprawił na mnie wrażenie, gdy go wspomnę dreszcz przenika mnie do kości. Oto wszystko com zapamiętał.

Do jednej mojej znajomej.

. . . .

Więc ty się nudzisz, ty, piękna istoto!
W bezczynnem życiu z wyobraźni motka
Próżniaczych mrzonek snujesz nitkę złotą!
Dla ciebie życie — cudnej pieśni zwrotka:
Opływasz w dostatki, na twoje skinienie
Masz stroje, kwiaty i rój wielbicieli,
Brylanty, perły i złote pierścienie...
Twej doli, zaprawdę, zazdroszczą anieli!
I ty się nudzisz?! Śród uciech zabawy,
Rozkoszna, drżąca, czy ty myślisz o tem,
Że wiele biednych bez dachu, bez strawy,
Zwalonych losem, nieszczęściem, kłopotem,
W tej samej chwili swe wybladłe twarze,
Wykrzywia z głodu? Ty wzlatasz w obłoki!
Na ziemię ze mną — chodź! ja ci pokażę
Piekło niedoli, całe łez potoki
I prozę życia! łachmany i błoto!

. . . .

Patrz! Chuda, wątła, schylona nad igłą,
Cały dzień Boży pędzi nad robotą!
Dla pragnień świata serce jej zastygło...
A jaka piękna! a patrz, jaka blada!
Patrz! na jej czole siedzi troski zmora,
I ze znużenia igła z rąk wypada,
A wciąż pracuje, choć blada i chora!

. . . .

Spojrzyj! tam, w piwnicy, na nędznym barłogu
Leży chory ojciec, co karmił rodzinę —
Lada chwila może oddać ducha Bogu,
Bo nie ma już za co w tę czarną godzinę
Dostarczyć lekarstwa! Wkoło niego dzieci
Cierpiące, z głodzone, bose, bez odzieży
I matka! W jej oku niema rozpacz świeci...
Ah, jak strasznie nędza tu prawa swe szerzy!

. . . .

Wzdrygasz się! Masz słusznosc. Uciekaj czemprędzej,
Od takich obrazów niech dusza twa stroni:
Tu wstrętne wyziewy nędzy, srogiej nędzy,
Silniejsze od perfum i kwiatów twych woni —
Uciekaj! Do nędzy nie przyłóż tu ręki,
Bo zwalasz swą jasną rękawiczkę... modną —
Uciekaj! gdzie biednych nie dosięgną jęki —
W salonach! tam znajdziesz ulgę niezawodną!

. . . .

Kobieto, od szczęścia z jaśniejącem czołem!
Ty, bozka, czarowna! ty, balów królowo!
Tybyś dla ludzkości mogła być aniołem,
A jesteś... czem? — Pustą lalką salonową!...

Janka.

KRWAWY DYABEŁ.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

z czasów Zygmunta III.

PRZEZ

L. S. W.

(Dalszy ciąg.)

Przypomniały się nam, ciągnął dalej mówca, dawniejsze lata, które patrzały na wiekopomne czyny odwagi wielmożnego pana starosty, brata mego miłościwego, gdy z nieboszczykiem królem Stefanem gromił buntownicze Gdańszczany, gdy pod Toropcem, pod znakami tegoż wiekopomnego króla, ocalił życie ś. p. Mikołajowi Jazłowieckiemu, ojcu wielmożnej pani starościny, mnie wielce miłościwej siostry, a więc przyszłemu swemu teściowi, który zaprawdę nie mógł wypłacić się swemu dobroczyńcy niczem lepszem, niczem kosztowniejszem, jak ręką swej nadobnej córy.

Widzieliśmy także niegdyś starostę, chlubę rodu Stadnickich, jak pod gradem pocisków nieprzyjacielskich darł się na mury Pskowa, jak pod Podhajcami i Wiśniowcem, gromił hordę tatarską. Już wtedy wdzięczni spółobywatele uznali w nim ducha bohaterów starożytnych, gdyż nadali mu przezwisko Deciusa, owego nieustraszonego Rzymianina, który...

— Miał przydomek Mus, co znaczy mysz — przerwał ze śmiechem sławiony bohater. — Dziękuję za ten przydomek, nie chcę być myszą dla lada kota, a zresztą ów Decyusz, czyli raczej Decyusze, bo o trzech prawią nam dzieje, dali się dobrowolnie pozabijać, a ja wolę zabijać niż zostać zabitym. Mam przecie inny przydomek „*Dyabeł*" a o tym, panie bracie, nie wspomnieliście dotąd w swojej szumnej mowie pochwalnej.

— Że źli i zbrodniarze tak nazywają bohatera— prawił mówca, nieco z tropu zbity szyderstwem i cynizmem starosty — wielka to dla niego chluba, powiem nawet zaszczyt niemały...

— Cha, cha, cha! — przerwał starosta. — Niektórzy nawet nazywają mnie *krwawym dyabłem*, ale, masz słuszność panie bracie, na mnie tylko krew wrogów, nie zaś przyjaciół, a zatem krew złych, bo złym jest dla mnie każdy wróg Stadnickich.

— Oby tylko źli byli naszymi wrogami! — wtrącił młody Samuel.

Starosta spojrzał z ukosa na młodzieńca, a tymczasem mówca, usiłując widocznie wyminąć punkt ten drażliwy, pospiesznie kończył przerwaną mowę:

— Teraz więc, gdy po trudach wojennych waleczny pan starosta złożył nakoniec, czyli raczej przytulił na spoczynek uznojoną głowę; gdy w domu swoim, na łonie rodziny, przybył użyć zasłużonego wypoczynku i wczasu, niespodziewając się, niestety, żadnej innej nagrody, oprócz wdzięcznej pamięci spółczesnych i potomnych, teraz niech wolno mi będzie wnieść zdrowie naszego bohatera, głowy zacnego rodu Stadnickich, mnie wielce miłościwego pana i brata wraz z czcigodną małżonką, a razem i nierozdzielnie zdrowie dwóch młodych latorośli: pana Samuela i tego oto chłopięcia, które podaje niemylną nadzieję, że z orlęcia wyrośnie na orła...

— Ja nie chcę być orłem! — przerwał w tem miejscu Władek, który z całej tej przemowy zrozumiał może to tylko, ale pojął trafnie, że to do niego się stosowało.

Zaśmieli się biesiadnicy, ale toast przyjęto i wychylono.

Pan Stanisław z Ozomli zmęczony nieco tym wysiłkiem wymowy, który zresztą przytoczyliśmy tu tylko w przybliżeniu, pominąwszy wiele wzmianek mitologicznych i wyrazów łacińskich, któremi moda ówczesna posługiwać się nakazywała, usiadł nareszcie i zabrał się do jedzenia.

Przy końcu wieczerzy pan starosta wzniósł toast za brata stryjecznego i cały ród Stadnickich, a pan Samuel wniósł zdrowie królewskie, niewymieniając imienia.

W kłopocie bowiem byłby istotnie, ktoby chciał dowiedzieć się, kogo w owej chwili zebrani tu Stadniccy za króla swego uważali: widoki Maksymiliana, którego sprawy bronili, były bez nadziei pogrzebane, a imieniem Zygmunta III panował nienawistny Stadnickim hetman i kanclerz Jan Zamojski, na którego samo wspomnienie wzdrygał się „Krwawy Dyabeł” łańcucki.

Jeszcze przed końcem wieczerzy starościna z synem usunęła się do swych pokojów, a natomiast zjawiła się u stołu nowa figura, która weszła do sali już dawniej, w czasie mowy pana Stanisława i przysłuchiwała się temu panegirykowi, stojąc pokornie w kącie komnaty, wzdychając i przewracając oczy. Był to człowieczek porządnie gruby, a tak małego wzrostu, że możnaby go było wziąć za karła, gdyby nie stała temu na zawadzie prawidłowa budowa całego ciała: wszystko bowiem było w należytym stosunku, ani głowa nie była zbyt dużą, ani ręce lub nogi zbyt długie, jak u karłów. Z twarzy niepodobna było oznaczyć wieku tego jegomości, mógł mieć zarówno lat trzydzieści, jak czterdzieści lub pięćdziesiąt, gdyż twarz ta nie była ani zwiędła, ani młoda, lecz gładka, dość przyjemna, o rysach drobnych, ale bez wyrazu, bez fizyonomii, jakby wycięta z papieru lub kawałka pergaminu. Oczy jakieś wyblakłe, bez barwy wybitnej, wyglądały jak szklane, czupryna była rzadka i bardzo jasnego, prawie jak len koloru. Od lewego oka do kąta ust sięgała głęboka blizna, widocznie ślad od cięcia pałasza, co było dziwnem w tej drobniutkiej postaci, którą trudno było posądzić, ażeby kiedykolwiek miała z orężem do czynienia i z kimkolwiek ucierać się potrafiła. Nie miał też ów jegomość żadnej broni u boku, ale ubrany był starannie, nawet wykwintnie, co zresztą dawało się usprawiedliwić tem, że niewiele potrzebował materyi na suknie, tak że żupan i kontusz mogły go tyle kosztować, co kogoś innego kusy kubrak lub gruba opończa. Miał zaś na sobie żupan z altembasu, grubej materyi tureckiej ze złota i jedwabiu tkanej, koloru wiśniowego, a na nim kontusz takiegoż koloru, ale aksamitny w złote kwiaty, z wązkiemi rękawami, bez wylotów. Takie były najdawniejsze kontusze, przez Polaków w wieku XVI od Tatarów przyjęte.

Pasów przy takich kontuszach nie noszono jeszcze żadnych, nie miał też pasa drobny jegomość.

Na skinienie starosty, który go dostrzegł od dawna, nowy gość zbliżył się i po licznych ukłonach, zajął miejsce opuszczone przez panią domu, z prawej strony gospodarza.

Był to podstarości łańcucki, urzędnik grodu w Łańcucie, pomocnik i zastępca pana starosty, a nazywał się Janusz Zwoliński. Posada, którą zajmował, była uposażona bardzo skromnie, a urząd podstarościego bardzo nizkie zajmował miejsce na szczeblach hierarchii społecznej: podstarości był częstokroć zarazem ekonomem, niemal sługą swego starosty. A jednak nie była to godność całkiem bez znaczenia i podstarości miewał nieraz w ręku życie możnych panów, gdyż starostwo grodowe miało prawo miecza, to jest mogło skazywać na śmierć zbójców i wszelkich gwałtowników, na gorącym uczynku schwytanych. Bywali wprawdzie po niektórych grodach sędziowie grodzcy, ale niewszędzie, a zresztą rzadko przesiadywali na miejscu, podobnie jak starostowie i wszyscy w ogóle dygnitarze Rzeczypospolitej, którzy nie uważali się za obowiązanych do pobytu w miejscu urzędowania. Ztąd to właśnie wynikało, że władza rzeczywista spadała najczęściej na urzędników podrzędnych, ludzi nizkich, którzy jak np. podstarości, byli przykuci do miejsca urzędowania i ruszyć się nie mogli. Urzędnik, mówiąc po naszemu, zarazem policyjny i sądowy, a nadto sługa i zausznik możnego pana, który go swoim zastępcą mianował, podstarości był częstokroć narzędziem w ręku rządzących krajem magnatów a przy tem umiał pamiętać o sobie, ażeby jak mówiono, „porosnąć w pierze”, to jest zbogacić się prędko i łatwo cudzym kosztem. Przy niedbałym bowiem ustroju rządu w Polsce, władza publiczna i sprawiedliwość już nawet wtedy, na schyłku epoki potęgi orężnej, podlegały wpływom prywatnym i przekupstwu; nie było należytego dozoru władz niższych przez wyższe, nie było pewnej odpowiedzialności i każdy czynił nie to tylko co prawem było dozwolone, ale to, na co mógł ośmielić się i co wykonać potrafił. Starostwa, należące do dóbr królewskich i skarbowych. a tak liczne i obszerne w Polsce, rozdawane były ludziom niby zasłużonym krajowi i nosiły nazwę urzędową „chleba dobrze zasłużonych”. W rzeczywistości jednak królowie byli zmuszeni rozdawać te obszerne dobra, zawierające częstokroć po kilkanaście wsi i miast kilka, możnym panom, których pomocy potrzebowali. Magnaci i bez tego zamożni, brali więc po kilka nawet starostw naraz, a chociaż prawo obowiązywało ich do wypłacania z dochodów pewnej części na utrzymanie wojska i chociaż posiadanie starostw było tylko dożywotniem, bogaci panowie nie dbali o te przepisy prawa, uchylali się od prawnego podatku lub rzucali krajowi co łaska, grosz lichy, a starostwa przekazywali jako dziedzictwo, swoim potomkom, którzy nieraz z orężem w ręku bronili nieprawnie posiadanych dóbr od pretensyi nowych kandydatów. Istnieją dziś jeszcze możne rody magnackie, których fortunę stanowią nadane im niegdyś starostwa, uważane później nieprawnie za własność dziedziczną.

— No, mości Zwoliński! — odezwał się starosta. — Wyglądasz waść coraz to młodziej, a zawsze strojno i wspaniale!

— Wolne żarty, wielmożny panie starosto — odparł cichym i chrapliwym głosem podstarości.— Człek trzyma się jak może, śród ciężkiej pracy i kłopotów. A co do stroju — dodał — wypadało mi najlepszą suknią uczcić powrót waszej miłości.

— Dobrze, dobrze, panie Januszu — rzekł Stadnicki. — Może przekąsisz co z nami?

— Dziękuję miłości waszej — odpowiedział z bladym uśmiechem Zwoliński. — Hołdując z zasady wstrzemięźliwości, rzadko jadam wieczerzę, a przytem...

— Teraz post wielki, a tylko my heretycy pożeramy mięso — uzupełnił starosta. — Prawda, zapomniałem o waszej znanej wszystkim wstrzemięźliwości i niemniej znanej pobożności...

Pan Janusz uśmiechnął się powtórnie, biorąc może za dobrą monetę pochwałę starosty, w której brzmiało widoczne szyderstwo.

— A więc napijemy się starego węgrzyna — mówił nalewając gospodarz.

Podstarości podniósł się i z ukłonem wychylił kubek za zdrowie pana starosty i na cześć szczęśliwego jego powrotu do kraju.

— Jakże stoją sprawy krajowe? — zapytał po chwili Stadnicki.

— Po dawnemu — odparł Zwoliński. — Pan Zamojski króluje nam pod imieniem swego Szwedzika. Nigdy jeszcze nie był tak potężnym: na ostatnim sejmie kazał sobie jako hetmanowi przyznać władzę nadzwyczajną, niesłychaną i na wieczne czasy zapisać sobie w konstytucyach sejmowych pochwałę za stracenie Samuela Zborowskiego i inne, oddane krajowi usługi.

— Niesłychana pycha! — wtrącił Stanisław z Ozomli.

— Śmierci Samuela — odezwał się starosta — dotąd mu darować nie możemy, pomimo wszelkich konstytucyi i pomimo to, że pan Krzysztof Zborowski, z którego zdjęto banicyą, podobno wrócił do kraju i pojednał się z zabójcą swego brata.

— Że wrócił, to prawda — rzekł podstarości — ale czy pojednał się z Zamojskim to wielkie pytanie. Ogłoszono także amnestyę i cofnięto wyrok banicyi, wydany na stronników Maksymiliana...

— W tej liczbie i na nas — dodał starosta. — O tem wiemy i dlatego wróciliśmy, korzystając z „łaskawego przebaczenia” — dodał z przekąsem.

— Powodzenie rozstrzyga o słuszności — rzekł sentencyonalnie Stanisław z Ozomli. — Gdybyśmy byli zwycięzyli pod Byczyną, Maksymilian byłby prawym królem, a stronnicy Zygmunta i Zamojskiego rebellantami.

— Arcyksiążę — odezwał się młody Samuel — podobno zrzekł się stanowczo swych pretensyi.

— Wymuszoną umową będzińską? — podchwycił starosta. — Wiem coś o tem, że Maksymilian teraz nie uznaje tej umowy. No, ale co słychać o naszym Szwedziku? — zwrócił się do podstarościego. — Czy zawsze jeszcze niemy?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PIERWSZA TAJEMNICA.

OPOWIEDZIAŁA

Maryś Napierałska.

(Dalszy ciąg.)

Pojmujemy go w zupełności — odpowiedziała Wanda, a marszałek dodał:

— Wszakże przełożona zleciła mi przy pożegnaniu, iżbym się opiekował p. Wandą jak córką, dlatego używając praw słusznie nadanych, radzę, niech pani trochę weselej patrzy, bo doprawdy, że smutek a nawet zaćmienie nie przystoi gwiazdom. O! tak to co innego — mówił dalej widząc uśmiech na moich ustach.

I Wanda uśmiechnęła się na zręczny komplement ojca.

— Ojczulku — zawołała — bo będę zazdrosna, ale ponieważ mianujesz małą Wańdzię córką swoją, więc musisz natychmiast pocałować mnie i ją.

Marszałek roześmiał się, a ja zaczerwieniłam się pewnie po same uszy. Wielką Wandę pocałował w czoło, a mnie ujmując za rękę wyrzekł:

— Taką małą Wańdzię wolno mi jeszcze pocałować w rączki.

I przy tych słowach wycisnął na rękawiczce długi pocałunek. Zmieszałam się jeszcze więcej, a Wanda zawołała:

— Ależ tutaj, za ojca i córkę, trzeba dwóch pocałunków.

— Wando! — przerwałam płomieniejąc i aby ukryć pomieszanie zwróciłam się do okna.

— Moje dziecię — rzekł marszałek serdecznie — wiem, że jesteś sierotą, a z drugiej strony wiek mój upoważnia mnie do tego, że mogę zaopiekować się tobą jak córką. Zatem wiedz, że chcę widzieć w tobie nie jakąś chłodną, nieprzystępną damę, ale szczerą, prawdziwą we wszystkiem towarzyszkę mej Wielkiej Wandy. Radbym z całego serca, iżby ci się spodobało w naszym domu, który proszę uważaj za swój własny.

Tyle było przyjaźni w oświadczeniu marszałka, że po przyjacielsku uścisnęłam dłoń jego.

— Głosuję — ozwała się z udaną uroczystą powagą Wanda—iżby dla lepszego przyzwyczajenia się w tym nowym stosunku, utworzyć rodzaj pokrewieństwa. Oto niech ojczulek mówi na Wandę po imieniu, a ona nosząc tytuł siostrzanki mianuje ojca wujem.

Roześmieliśmy się wszyscy z tego konceptu, ale ostatecznie po kilku ceremoniach doszło do tego, że na mnie wołał marszałek Wańdziu, a ja na niego wuju. W ciągu kilku godzin jazdy, odzyskałam już prawie zupełną swobodę i zwykłą wesołość.

Podróż nasza odbywała się przyjemnie, a w Kijowie mieliśmy zabawić w przejeździe dni kilka. Nie uszło mej uwagi, że w miarę zbliżania się do celu naszej podróży, Wielka Wanda stawała się coraz więcej ożywioną, zdając się oczekiwać czego miłego, coś co zapewniało jej przyjemność. Gdyśmy wreszcie przybyli do Kijowa, stała się taką, jakiej nie widziałam nigdy. Co do mnie samej, byłam tak zajęta tem wszystkiem, co dotąd stanowiło nowość dla mnie, że nie zapytywałam jej nawet o przyczyny zmiany w usposobieniu. Przejeżdżając koleją, spoglądałam ciekawie na szerokie łany Ukrainy, na tamtejszy naród i w ogólności moje własne wrażenia pochłaniały całkowicie prawie moją uwagę. W Kijowie stanęliśmy w wykwintnym, wygodnym hotelu, a wieczorem tegoż samego dnia wybraliśmy się do teatru. Wówczas po raz pierwszy ubrałam się w piękną seledynową suknię, w jakiej było mi bardzo do twarzy. Wielka Wanda stała tego wieczoru dłużej przy zwierciadle niż zazwyczaj, a chociaż toaleta jej nie była jasną jak moja, choć może mniejsza staranność nie dawała jej tak uderzać w oczy, jak moja, przecież Wielka Wanda wyglądała bardzo dobrze. Stanąwszy przed lustrem musiałam też i sobie oddać sprawiedliwość, że byłam bardzo, bardzo ładną.

— Ah! moje Wandy — zawołał marszałek — wieleż to dziś Rytygierów znajdziecie u stóp waszej loży? Wańdziu — rzekł podając mi z galanteryą palto — mógłbym się złościć na te krasne róże tkwiące przy twem ramieniu i w twych czarnych loczkach.

— Wujaszku nie jesteś przecież średniowiecznym rycerzem, iżbyś pragnął kochać mój ulubiony kolor — odparłam żartobliwie.

Marszałek za całą odpowiedź pochwycił moją rękę i okrył ją tak namiętnemi pocałunkami, że zdziwiona wyrywałam ją pomału, co gdy marszałek spostrzegł, przybrał znów swoją naturalną powagę i już bez słowa rozmowy poprowadził mnie do powozu.

A więc ziściło się jedno z mych marzeń. Byłam w teatrze, wystrojona, szczęśliwa, pomyślałam bawiąc się pierzastym wachlarzem. Nagle między oficerami przechodzącymi koło naszej loży, spostrzegłam jednego, który miał w swej postaci coś co mi mówiło, że nie był mi zupełnie obcym.

Przyjemnie było patrzeć na niego, jak idąc w gronie kilku innych, uśmiechał się wesoło, pokręcając czarny wąsik. Ten uśmiech i to oblicze tak zajmujące przypomniały mi natychmiast pokoje pensyonarskie, powrót Wandy z Ukrainy, poezye Tennysona i fotografię, a nakoniec rumieńce mej koleżanki, na którą teraz z kolei zwróciłam oczy. Podczas gdy palce jej bawiły się bezmyślnie kwiatami bukietu, wzrok błądził niespokojnie po całem otoczeniu, chcąc nie patrzeć tam, gdzieby może pragnął. Takiż sam szkarłatny rumieniec, jak wtedy twarz jej oblewał, gdy mieszała się prawdziwie po pensyonarsku.

— Wańdziu, czy ty widzisz tego ślicznego chłopca? — szepnęłam do ucha.

Nim Wanda zdołała odpowiedzieć, śliczny kawaler złożył głęboki ukłon, na jaki marszałek odwzajemnił się życzliwem skinieniem głowy. W tej chwili nastąpił antrakt, kortynę zapuszczono i uśmiechnięty oficer, jak pożądana niespodzianka pojawił się w loży.

— Witam pana marszałka, witam pannę Wandę — przemówił świeżym, młodzieńczym głosem, podając rękę ojcu i córce.

W czasie powitania tego, uważałam za stosowne zająć się wachlarzem i pozorną uwagę zwrócić na zapełnioną salę, a jednak wiedziałam dobrze, że młody mężczyzna zwracał się teraz ku mnie. Pochylona nieco na poręczy loży, odwróciłam się zwolna, niby od niechcenia, usłyszawszy:

— Moja kuzyna Wanda — wymówione przez marszałka. — Kapitan Roland R. — dokończył następnie.

Po pierwszych ukłonach, jakby nie zwracając uwagi na przedstawionego mi, ozwałam się zbliżając do marszałka z najpiękniejszym uśmiechem:

— Wujciu, która to już godzina?

— Jedenasta, moje życie — brzmiała odpowiedź.

— Czy pani powie, już jedenasta, czy też dopiero jedenasta? — zagadnął mnie p. Roland.

— Ani jedno, ani drugie, bo dotąd nie uważałam wcale na uchodzący czas, będąc zajętą tylko przedstawieniem — odparłam śmiało wpatrując się weń błyszczącemi oczami.

— Mówisz pani *dotąd*, czy to ma znaczyć, że *odtąd* uwaga pani będzie już zwrócona na czas ubiegający? — zapytał znów kapitan.

— Doprawdy panie, tak chwytasz za słówka, jakbyś pragnął mnie zniecierpliwić.

— A jeźli pragnę rzeczywiście? — ozwał się zuchwale prawie młody kawaler.

— To więc znaczy, że nasze pierwsze widzenie rozpoczyna się wojną? zapytałam z niechęcią.

— Gdzie wojna tam i zwycięztwo — brzmiała wymijająca odpowiedź.

— Nie zawsze dla ciebie, kapitanie — wtrącił żartobliwie marszałek. — Chociażeś może i tęgi wojak, ale przecież bywają pola, na jakich trudno wystąpić w zapasy, jeżeli przeciwnika stanowi płeć piękna — dokończył ze śmiechem.

Kiedy rozmowa miała się stać ogólną, huczne uderzenie orkiestry przerwało jej zawiązek i z kolei zwróciliśmy się wszyscy do sceny.

* * *

Już od dwóch tygodni znajdowałam się w Bironce na Ukrainie, razem z Wandą.

W domu marszałka i jego najbliższej rodziny czułam się zupełnie, jakby u siebie. Nauka Anusi, siostry Wielkiej Wandy, żadnej nie przynosiła trudności, gdyż była to dziewczynka niezmiernie pojętna, dobra, posłuszna, jednem słowem taka, że niewiele trzeba było zadawać sobie z nią pracy.

Dwór biroński był obszerny, pięknie zbudowany, otoczony wkoło dużym ogrodem, po za którym ciągnęła się rzeka, zalewająca w niektórych latach, w czasie obfitych deszczów, większą część ogrodu. Mieszkanie było urządzone z elegancyą i wygodą. Ja z Wandą i Anusią miałyśmy pokoje na górze, pani Bronisława wdowa, siostra marszałka, zajmowała z tym ostatnim dolne skrzydło.

Pani Bronisława starsza od swego brata, była dobrą i rozsądną kobietą, polubiła mnie niezmiernie odrazu, za co odwzajemniałam jej się największą uprzejmością. Życie w Birońskim dworze płynęło przyjemnie i wesoło. Stosunek mój z wielką Wandą został po dawnemu serdecznym, ale jednak nie potrącałyśmy nigdy ani jednem słowem o pierwszą tajemnicę, niby zapomnianą, jakiej obie nie śmiałyśmy naruszać, pamiętając przecież o niej dobrze. Co do kapitana Rolanda, z którym widziałam się raz po teatrze w hotelu, teraz właśnie w miesiącu Listopadzie oczekiwaliśmy przybycia jego do Bironki. A marszałek?

Ten ostatni w roli wuja, zdawał się codzień więcej być zakochanym w swej siostrzenicy, która przyznaję z uśmiechem pobłażania, powściągała jego zapały.

W jesieni miało się rozpocząć polowanie, a więc z niem i napływ gości do birońskiego dworu. W karnawale przedstawiała się świetna epoka balów. Rzecz można, że tylko do czasu rozpoczęcia się ich, byłam zupełnie spokojną i szczęśliwą, bo później będąc wprowadzona w świat, jako krewna

bogatego marszałka, dałam przystęp do siebie jednej z niebezpieczniejszych namiętności ludzkich... żądzy wywyższenia się.

Dnia jednego po obiedzie poszłam sama do ogrodu nad rzekę. Miejsce to najwięcej przypadało do mego upodobania, zwłaszcza wówczas. Zdarzają się chwile w życiu ludzkiem, że pragnie się choć trochę oderwać od życia najwyższej rozkoszy, by głębiej zastanawić się nad samym sobą i otoczeniem.

Taka też chwila przyszła i na mnie. Otuliwszy się ciepłem okryciem wdrapałam się na dość wysokie wzgórze, wznoszące się tuż nad rzeką i siadłam tam na prostej ławce, patrząc przed siebie w zamyśleniu.

Co myślałam? nie wiem dziś dobrze. Było to jakby majaczenie senne, w którem cała przeszłość staje w jednym skupionym obrazie, dość że upłynęło sporo czasu i zmierzchło się na dobre. Nie spostrzegając tego zamknęłam prawie oczy na otaczającą naturę, która rzeczywiście nie usposabiała do zachwytu, okazując nagie gałęzie drzew, gdzieniegdzie szeleszczących jak kości szkieletu, niebo ołowianej barwy i wodę marznącą w rzece.

W jesieni można wspominać o przeszłości, ale kto jak ja nie miał jej prawie, zwłaszcza którąby chciał przypomnieć, ten bezwarunkowo woli marzyć o przyszłości. Wkoło mnie wszystko było ciche, milczące i poważne. Głos też świeży, męzki, nagle w pobliżu odzywający się, przestraszył mnie tak że zadrżałam cała.

— A więc tu nakoniec znajduję panią.

Spojrzałam i u stóp wzgórza ujrzałam stojącego kapitana Rolanda. Uchylił czapkę, a jesienny wiatr powiewał obfitemi zwojami ciemnych włosów ukazując białe, młodzieńcze czoło.

— Kapitanie — rzekłam z udaną powagą — kto ci pozwolił poszukiwać mnie? Spadłeś pan tak nagle, jak prawdziwa jesienna chmura.

— I zastałem panią, jak czarodziejkę ukraińską jedną z tych, o jakich wspomina Zaleski. — odparł kapitan.

— Tylko proszę w przystępie humoru nie nazywać mnie czarownicą — zawołałam zbiegając chyżo ze wzgórza.

— Nie uląkłbym się jej czarów — powiedział kapitan ściskając mi rękę na powitanie.

Czytelnicy, nie dziwcie się, że mając lat szesnaści, słysząc podobne słowa z ust młodego mężczyzny, zapragnęłam zapanowania nad kapitanem, który chociaż nosił ostrogi i zuchowato wąsa pokręcał, mógł złożyć wszystko u nóg mych na żądanie. Rozum szesnastoletni nie odznacza się zastanowieniem chłodnem. Życie też przedstawiało się dla mnie w formie nowości wesołej, wiedziałam że jestem jeszcze bardzo młodą i piękną, z książek zaś jakie cichaczem na pensyi czytałam, dowiedziałam się o istnieniu miłości, o pięknych pannach, które czasem odpychały swych wielbicieli, aby uszczęśliwić daniem swej ręki jakiego podtatusiałego jegomościa, który zamiast świeżych uczuć i nadobnej postaci, dawał w zamian worek błyszczących dukatów.

Ten ostatni punkt właśnie zajmował mnie najwięcej. Kapitan Roland podobał mi się bardzo. Pozostałe wspomnienie z fotografii, znalazłszy żywy oryginał zaczęło przybierać ognistszy charakter.

Rzuciłam też na kapitana spojrzenie, które jak sądzę, nie musiało być bardzo surowe, bo oczy Rolanda nie odwróciły się, ale przeciwnie wlepiły we mnie jakby z uwielbieniem.

— Spieszmy do domu, już jest późno — rzekłam przyjmując podane ramię i szliśmy szybko w coraz większej ciemności, rozmawiając i śmiejąc się jak dwoje dzieci rozbawionych.

Mimo chłodu zastaliśmy Wielką Wandę na ganku. Rumieniec okraszał wdzięczną jej twarzyczkę, na której odbijało się wyraźne zadowolenie.

— A na koniec, państwo z powrotem — zawołała. — Grzecznie to pozostawiać mnie tak samą zupełnie.

— Podziękuj pani za to swojej kuzynce — bronił się kapitan. — Ukryła się tak daleko w ogrodzie, że musiałem szukać jej długo, aż do zmęczenia, a za to zamiast podziękowania, otrzymałem ostrą naganę.

Po wielu przekomarzaniach bawiliśmy się wesoło w salonie wieczorem, od którego rozpoczynało się zjeżdżanie gości na polowanie.

Roland podjął się nazajutrz uczyć mnie i Wandę konnej jazdy. Ubrawszy się więc w eleganckie amazonki, zaimprowizowane tymczasowo z zielonych sukien, włożyłyśmy kapelusze z ogromnemi woalami i ze szpicrutą w ręku, wyszłyśmy rankiem pierwsze na obszerny dziedziniec. Wyprowadzono dwa ładne, spokojne, siwe konie dla nas, a karego, ognistego rumaka dla Rolanda. Niezadługo wyszedł ten ostatni, w zgrabnym, myśliwskim kostyumie, prawie piękniejszy niż kiedykolwiek. Zdawał się wiedzieć o tem sam, bo uśmiechnięty i ożywiony zapytał nas, jak się podoba? Po zapewnieniu z naszej strony wręcz przeciwnem, wsiadłyśmy na konie i Roland jadąc w pośrodku nas czasami szedł pieszo, trzymając uzdeczki siwoszów.

Odtąd weselej jeszcze czas pędziliśmy. Młódź ukraińska zbiegała się do birońskiego dworu, z dwóch powodów. Wielka Wanda była już panną na wydaniu, co stanowiło wielki wabik dla kawaleryi, następnie zachęcało polowanie i gościnność marszałka: gości też bywało wiele.

Wykwintni panicze, strojne panny i poważne mamy, garnęły się do Bironki z nadzieją połączenia się z gospodarzem przez oddanie mu córki za żonę, swych siostr, albo kuzynek.

Ja, jako kuzynka marszałka za którą byłam uważana, otrzymywałam liczne honory i bawiłam się wyśmienicie. Trefiąc włosy i ubierając suknię, pragnęłam podobać się wszystkim, zawracać głowy jeźli się uda i tym sposobem zwolna, niechcący, puściwszy się raz na ślizką posadzkę bogatych salonów, poznałam mimowoli sztukę przypodobania się. Kokieterya nie była mi już obcą.

Poznałam zbyt szybko, że nie trzeba wierzyć czułym i niby szczerym napozór słówkom młodzieży, że nie należy za nie odwzajemniać się prawdziwem uczuciem i wreszcie, że najłatwiej jest zarzucać na tych krasnych motylów różowe, jedwabne niteczki, aby się trochę pośmiać, pożartować, a później nawet i nie spojrzeć na motyla, gdy skrzydła opuści i fruwać przestanie.

Rzucałam też wokoło uśmiechy i wesołe, ulotne słówka, jedną ręką podawałam kwiatek, drugą szpilkę ostrą, śmiejąc się z igraszki. Przyszedłszy do świadomości, że czaruję każdego, nie wahałam się nigdy w użyciu tej niebezpiecznej broni, czyniąc to bez cienia myśli serdecznej, bez najmniejszej skłonności, tylko poprostu dlatego, iżby się bawić. Kokietką jednak nikt mnie zwać nie mógł, ponieważ byłam za żywą jeszcze na to, iżby zchłodnem zastanowieniem wywoływać upragnione wrażenie, byłam tylko zalotną, z czem właśnie przy urodzie dojść mogłam do wielkich powodzeń. Żaden z tych wszystkich blondynów, szatynów i brunetów nie zajmował mnie na seryo, żaden z wyjątkiem jedynie... Rolanda. Zdawało mi się, że dla niego jednego posiadam głębsze i trwalsze uczucie, bo czerwieniąc się za jego zbliżeniem, uczuwałam zarazem dziwną przyjemność, jakbym go na prawdę kochała.

Zwykle opowiadałam wielkiej Wandzie o tryumfach odnoszonych kosztem dorodnej młodzi, o Rolandzie tylko nie rzekłam jej nigdy ani słowa. I to była moja pierwsza tajemnica przed nią. Wanda jednak nie postępowała tak jak ja, nie odstręczając nikogo od siebie, nie starając się przyciągać kogokolwiek, z niezmiernym taktem obchodziła się ze wszystkimi. Tworzyłyśmy zawsze dwie sprzeczności, ona wysoka wspaniała postawą z twarzą o przyjemnych dziewczęcych rysach, zdawała się być królową, ja obok niej mogłam być uważaną za dziecko, z moją małą osóbką, krótkimi kędziorami i dziecięcą prawie, uśmiechniętą twarzą.

Nie wiedziałam jeszcze wówczas, czy ona żywi miłosne uczucie dla Rolanda, tak poważne, niejasne dla mnie było jej postępowanie, a rumieńce owe na pensyi przy oglądaniu fotografii, tłomaczyłam zwykłem zmieszaniem dziewczyny, złapanej na gorącym uczynku, ale nic więcej nadto. Co zaś do Rolanda, w ogólności był zawsze pięknym i ujmującym, ale nie jednakowo postępował z nami. Może mi się wreszcie zdawało tylko, że jakiś inny odcień, jakieś nieme porozumienie zachodziło między mną i nim. W grzeczności równym był i uprzedzającym dla Wandy i dla mnie, ale w owych drobnych na pozór oznakach, czy to wówczas, gdy prowadząc jedną ręką mego konia, drugą przytrzymywał mnie w pół i patrzył tak jakoś dziwnie w moje oczy, a ja opierałam dłoń na jego ramieniu, płonąc pod wpływem wewnętrznego wzruszenia; czy to w uniformie strzeleckim, prosił o pocałunek mej ręki na szczęście, czy to nakoniec w tysiącznych, małoznacznych napozór okolicznościach, gdy zajmował się mną najwięcej, mówił mi wiele, bardzo wiele.

Tak upłynęło dni kilkanaście, dostatecznych, iżbym przyszła do mniemania, że kocham Rolanda. Nowe to uczucie sprawiało we mnie rozkosz jakąś nieznaną dotąd, darząc kwiecistem marzeniem o miłości, złotemi snami o szczęściu.

Kochałam już kapitana, wyznałam to otwarcie przed sobą samą, a domyślając się i z jego strony podobnych uczuć, z biciem serca oczekując wyznania, byłam jeszcze piękniejszą, weselszą, taką jak nigdy.

Zajęta miłością, nie zajmowałam się koniecznym jej następstwem małżeństwem. Wreszcie ślub następuje dopiero po wzajemnych oświadczynach, nie o ślubnej zatem sukni, lecz o Rolandzie wyłącznie myślałam.

* * *

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z KRAINY PIĘKNA.

Z największym na wystawie konkursowej i najbardziej imponującym pod względem rozmiarów obrazem, wystąpił pan Maurycy Trębacz. Pod względem rozmiarów, wyrażenie to powtarzamy umyślnie, starannie bowiem malowany **Samarytanin**, ma tę wielką wadę, iż na widzu żadnego nie pozostawia wrażenia.

Rzecz dziwna, rysy obnażonego młodego człowieka wyrażają rzeczywiste cierpienie, tak jak pochylona nad nim postać Samarytanina w bogatym stroju wschodnim i wielkim turbanie, odzwierciadla pełne współczucia zainteresowanie się chorym, a jednak całość nie budzi w duszy patrzącego żadnego żywszego wrażenia, co więcej dwie te postacie wydają mu się nawet pospolite, być może dlatego, iż pełen prostoty układ obrazu, przypomina nieco rysunki, jakimi zdobią zagranicą staranniejsze wydania historyi świętej. Ta płaska szara pustynia, dwa wielbłądy opodal, a na pierwszym planie jedna postać leżąca, druga zaś na kolanach, lekko nad nią pochylona, wszystko jota w jotę, jak w obrazkach ze starego testamentu. Nie przeszkadza to jednak, iż szczegóły są dobrze wykonane: pan Maurycy Trębacz należy do malarzy o wyrobionej technice, przyznając mu też wszelkie jej zalety, stawiamy tylko zarzut szablonowego układu, do którego łączy się jeszcze szare światło, niezdradzające ani słońca dziennego, tego palącego słońca pustyni, które tak poczerniło doskonale modelowane ręce Samarytanina, ani blasków zachodu ani jutrzenki budzącego się światła; o której też porze miłosierna odbywa się scena, trudno odgadnąć.

Brak tematów, któreby żywiej poruszyły sercem widza i szary koloryt, stały się na seryo jakiemś fatum nieszczęsnem tegorocznej wystawy. Nie chodzi nam tu, aby każdy obraz miał być dramatem, broń Boże! Jeżeli to tylko wierne pochwycenie natury, pojedyńczy jej objaw, obrazek rodzajowy wreszcie, natenczas dobrze pojęty realizm wystarczy nam zupełnie. Proszę spojrzéć naprzykład, jak ślicznie pan Biedroński, odtworzył swego **Pokrzywdzonego**. Patrząc na to małe chłopię, tak serdecznie skrzywione do płaczu, współczuje się z jego niedolą i ma ochotę pogładzić go po płowych włosach, kojąc tę żałość chwilową.

Przypomina on anegdotkę: „Waluś, dostałeś też co od majstrowej na kolendę?“ — „A juścić, w kark!“ i zalewa się biedactwo łzami, a tak jest plastycznie oddane, iż lada chwila poruszy się i poskarży nad swoją krzywdą. W takich więc utworach prawda życiowa wystarcza zupełnie, nie trzeba tu szukać dramatu, komedyi, ani „sytuacyi“; większe jednak, bardziej skomplikowane, gdzie wchodzi kilka lub kilkanaście osób, wymagają koniecznie jakiegoś motywu psychicznego, inaczej zimne pozostają i niezrozumiałe. Jeżeli w dodatku oszpeci je jeszcze jednostajny bez życia koloryt, prace i efekt muszą być chybione.

Ah, ten bezbarwny koloryt, gdy złączy się z banalnym, pospolitym pejzażem, o śmierć... chciałem powiedzieć o... ziewanie przyprawić każdego musi.

Krajobraz Kochanowskiego. Szare pole z odcieniem lekko seledynowym gdzieniegdzie, przerzyna je szara droga, z szaremi drzewami, w oddali szare budynki. Na pierwszym planie kilka krów tak szarych, iż od szarego krajobrazu odróżnić je trudno, pomimo iż szare ich uszy mało co mniejsze od rogów, powinnyby zwrócić uwagę. Spokojne te zwierzęta, strzeżone są przez dwie wiejskie dziewczynki o szarej karnacyi i szarem odzieniu. A, przepraszam, jedna z nich ma czerwoną chusteczkę na głowie i to stanowi jedyny jaśniejszy i żywszy punkt w całym, dość dużym a tak monotonnym obrazie, iż w końcu widz porzucając tę jednostajną, zmanierowaną szarość, gotów zapisać w notatniku lub pamięci: „Krajobraz p. K. odznacza się bardzo pięknemi ramami.“

Że zresztą uparte trzymanie się jednotonności barw, przechodzi na prawdę w manierę, przekonamy się przy obrazach po za konkursowych, tymczasem zaś, aby zakończyć z wystawą dodajemy, iż żaden z nadesłanych na nią utworów, nie przechodził o tyle granic mierności, aby zasłużyć na pochlebną choćby wzmiankę. Rzeźbie za to, lwia część przypadła. Stanęło do turnieju trzech współpracowników: pp. Rygier, Zawiejski i Lewandowski, a palma pierwszeństwa temu ostatniemu przyznaną została.

Uwieńczona nagrodą płaskorzeźba jego, przedstawia: **Thetis błagająca Zeusa o łaskę dla Achillesa** Robić artyście zarzut z tematu, to niesprawiedliwość i nielogiczność zarazem: każdy idzie tam, gdzie go instynkt wewnętrzny i duchowa popycha potrzeba, gdzie skłonności jego artystyczne i wyobraźnia najlepsza dla pragnień swych znajdują zadośćuczynienie. Zarzutu więc nie robimy, ale wolno nam, dzieciom epoki dzisiejszej, mieć żal do p. Lewandowskiego, iż mając tyle późniejszych motywów, sięgnął aż do starożytności, aby ją w pięknej uplastycznić rzeźbie. Trudno, czasy klasycyzmu minęły oddawna, dziś prozaiczni synowie wieku, nie umiemy ani odczuć, ani zrozumiéć ważności chwili, w której Thetis przemawiała do Jowisza. Zresztą postawa jej przed gromowładnym bożkiem, nie wyraża nawet tak bardzo błagania, przyznając też p. Lewandowskiemu wszystkie zalety klasycznego spokoju w kompozycyi i doskonałego wykonania, witając w nim nowy zabytek bo płaskorzeźba mało miała u nas dotąd przedstawicieli, zwracamy się tem chętniej do prac p. Rygiera, jako więcej dla nas zrozumiałych, a drugą odznaczonych nagrodą.

Kopernik (z bronzu) to starzec siedzący w fotelu, o poważnem, myślącem obliczu, niejedną już zoranem troską. Wyraziste jego rysy zdradzają głębokiego myśliciela i filozofa, znamionują pewną gorycz, której tyle zaznał w życiu, a zarazem uderzają dobrze zrozumianym realizmem. Cechę tę odnajdujemy także w **Góralu** drugiej pracy pana Rygiera.

Prześlicznie wykuty w kararyjskim marmurze **Góral** ów, najwięcej z rzeźb zebranych na wystawie pociąga i przykuwa oko. Z krótką fajeczką w ręku, którą zapala właśnie, zdaje się być żywym Tatr mieszkańcem, traktowany zaś jest z taką prawdą realistyczną, iż sprawia nam wrażenie doskonale uplastycznionego ruchu. Jeszcze chwilkę, skończy tylko zapalać fajeczkę, a posunie się i pójdzie dalej.

Niestety, nie można tego powiedzieć ani o **Studyum** p. Rożniakowskiego, ani o dwóch rzeźbach p. Zawiejskiego, z których jedna przedstawia **Głowę dziewczątka**, druga **Św. Jana z barankiem**, obie zaś starannie wykonane grzeszą nieco brakiem pomysłu i należą do prac, które wdzięcznie zdobiąc salony, do nagród konkursowych jednak, nie mogą mieć pretensyi.

W każdym razie rzeźba stanęła o wiele wyżej od malarstwa, jakkolwiek przywykliśmy oddawna pysznić się z jego postępów. Po przejrzeniu też dzieł nadesłanych na wystawę, doznaje się wrażenia rozczarowania i pustki, od której uciekamy co prędzej do obrazów po za konkursem stojących.

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

We Francyi znajduje się **Stowarzyszenie dam francuzkich**, mające na celu niesienie pomocy wszystkim bez wyjątku Francuzom, dotkniętym klęską ogólną: jak wojny, cholery, powodzi lub trzęsienia ziemi.

Profesor szkoły medycznej Duchausoi, który brał udział w wojnie Francyi z Niemcami, dostrzegłszy niedołężne urządzenie służby sanitarnej, obowiązanej podawać pierwszą pomoc ranionym, postanowił zaprowadzić kursa mające na celu przygotowanie odpowiednio ukształconych Siostr miłosierdzia.

Skutkiem tego w roku 1870, zawiązane zostało *Stowarzyszenie dam francuzkich*, które się natychmiast niezmiernie rozwinęło. Przystąpiły do niego kobiety wszystkich warstw społecznych, damy z arystokracyi, żony bankierów, deputowanych i senatorów, bonapartystów i radykałów. Zadanie Stowarzyszenia polegało przedewszystkiem na przygotowaniu odpowiednio uzdolnionych sióstr miłosierdzia.

Prawidłowo urządzone kursa, zaopatrzone we wszystkie możliwe potrzeby, zaprowadzono w domu Stowarzyszenia,

Przedmiotami wykładowemi są: anatomia i fizyologia, obowiązki sióstr miłosierdzia w czasie wojny, zasady farmacyi, pierwsze podawanie pomocy ranionym, ogólne zasady pielęgnowania chorych, pielęgnowanie noworodków, mała chirurgia, bandaże i aparaty, masaż i hydroterapia.

Główną a prawie wyłączną uwagę zwrócono na praktyczne zapoznanie się ze sprawą. W tym celu po każdej lekcyi mają miejsce ćwiczenia praktyczne i powtarzanie kursów już przeszłych.

Ciekawy i przyjemny przedstawia widok niejedna poważna matka rodziny, jak powstaje skromnie, wywołana przez nauczyciela i odpowiada na zadane sobie pytania!...

Pomiędzy uczącemi się są nawet kobiety dobrze w lata posunięte. Na rue Jacob, posiada Towarzystwo szpital bezpłatny, w których słuchaczki kursów spełniają zajęcia praktyczne.

Kursa, są ma się rozumiéć bezpłatne, ich podwoje dla każdego stoją otworem.

Do zapisania się żadne nie są wymagane formalności, potrzeba tylko zaciągnąć się na listę jeżeli słuchaczka ma zamiar poddać się w następstwie egzaminowi. Aby miéć prawo składania egzaminu należy jednakże uméć czytać i pisać, znać dokładnie system dziesiętny i przedstawić świadectwo moralnego prowadzenia się. Oto wszystko.

Ponieważ Stowarzyszenie jest już rozgałęzione po wszystkich wielkich miastach Francyi, corocznie więc przybywa setki uzdolnionych siostr miłosierdzia.

Trudność zadania polegała na tem, aby dla tych co kursa pokończyły znaleźć zajęcie jakie.

Dzięki atoli ogromnym stosunkom członków Stowarzyszenia, kwestya ta znalazła rozwiązanie bardzo łatwe! Damy oto umieszczają swoje protegowane jako dozorczynie bądź w szpitalach, bądź w domach prywatnych.

Członkowie zbierają się raz na tydzień w wielkiej sali wykładowej dla przygotowania bielizny, szarpi, bandaży dla chorych i dla rozpatrzenia wszelkich interesów bieżących. W chwili gdy się tem zajmują, profesorowie mają wykłady z higieny lub medycyny praktycznej.

Praca idzie bardzo poważnie i dość powiedzieć, że pomimo ogromnych transportów wysłanych do Tonkinu a poprzednio jeszcze do Madagaskaru, na wyspę Formozę i do Tunisu, w składach Stowarzyszenia znajduje się gotowej bielizny i zapasów chirurgicznych dla 40,000 osób.

Towarzystwo o jakiem mowa wydaje rocznie na zapomogę dla rozmaitych chorych lub nieszczęśliwych co najmniej po sto tysięcy franków rocznie, a mimo to ma zawsze kasy pełne.

W czasie cholery w Marsylii i Tulonie w 1884 roku bardzo wiele z dam należących do Stowarzyszenia bez hałasów i reklam udało się w samo centrum zarazy i niosło tam niezmiernie czynną i niezmiernie pożyteczną pomoc chorym. Damy te opuściły niebezpieczne posterunki wtedy dopiero, gdy już istotnie ich pomoc potrzebną nie była. Oto rys charakterystyczny francuzek wyższego towarzystwa, rys którego pesymista Zolla dopatrzéć nie potrafił.

Prawda, że wszystko to robi się tutaj po cichu, skromniuteńko, prawda że gazety o tem wszystkiem nie wykrzykują, ale z tem wszystkiem prawda także, że Stowarzyszenie o jakiem mowa zasługuje na uznanie jak najzupełniejsze.

Towarzystwo oszczędności kobiet zawiązane we Lwowie ma głównie na celu krzewienie jej w rodzinie.

U nas wśród powodzi wystaw, mowy o tem nawet nie ma, chociaż niekoniecznie z naszej przyczyny, ale za to w praktyce życia zdarzają się pomysły godne podniesienia. Niedawno podaliśmy wiadomość o rodzinach wspólnie prowadzonych kuchnię, co im zmniejsza o trzecią część dawniejszych wydatków: obecnie dowiadujemy się, iż kilku pracowników kolei Nadwiślańskiej, niezależnie od swego stałego zajęcia, wzięli się do pracy a wyuczywszy jakiegoś rzemiosła, oddają mu się z zamiłowaniem i ciągną pomocnicze na utrzymanie rodzin korzyści.

I tak: jeden z telegrafistów p. M. nauczył się szewstwa i wyrabia obuwie męzkie nie tylko dla siebie ale i na sprzedaż, nadkonduktor p. K. z lasek dębiny, brzeziny i grabiny, wyrabie bardzo piękne mebelki a doszedł do takiej wprawy, że jego krzesełka i foteliki pod względem smaku i trwałości, meblom giętym nie ustępują — jako zaś szczególne w swoim rodzaju, chętnych bardzo znajdują nabywców; maszynista p. B. bardzo pięknie oprawia książki, jeden z konduktorów wyuczył się krawiectwa, inny wyplata koszyki a jeszcze inny wziął się do wyrobu kapeluszy słomkowych i bardzo dobrze na tem wychodzi.

Oprócz tego wielu ze szczupłemi fundusikami pozakładało sklepiki, które w miejscowościach takich jak Nowe Brudno, Nowa Praga, Pelcowizna, gdzie dotąd żydzi monopol pod tym względem posiadali, rozwijają się wcale nieźle.

Z Poznania donoszą nam wiadomość pocieszającą, że bank ziemski rozpoczął czynności, tymczasem w skromnym zakresie pośredniczenia w parcelacyi i t p. Na początek zajmie się parcelacyą części majątku Naramowice, pod samym Poznaniem położonego, własność pani Szczanieckiej. Hypoteki się regulują, pomiary rozpoczęto, a skoro wszystko ukończone zostanie bank wezwie przez pisma publiczne włościan, chętnych do kupna, żeby parcele obejrzeli, ile który zechce kupić. Nie ulega wątpliwości, że kupców będzie poddostakiem. Ciągle się do banku zgłaszają włościanie w interesach kupna i dzierżawy, Ten szuka parceli na własność, ów dzierżawy, nawet do kilkuset mórg, ów wiatraka, rybak jeziora i t. d., i t. d. Jeżeli tak dalej pójdzie, siły banku znacznie będą musiały być powiększone, aby podołać korespondencyi i osobistemu załatwianiu się z interesantami.

Pierwsze kroki urzędowej kolonizacji w poznańskiem niebardzo fortunnie wypadły. Komisya sprzedała wieś Szląskowo, a z kilkudziesięciu parcel od 30 do 100 mórg, ledwo na połowę znaleźli się nabywcy aż z pod Lignicy i Wrocławia. Ziszcza się to, co przewidywamo, że na czysto niemiecką kolonizacyę nie ma materyału, a przynajmniej nie tak łatwo o ten materyał, jak o polski.

Idylla małżeńska Ferdynanda Lesseps. Los „wielkiego Francuza podobnym jest do losu owych bohaterów legendy indyjskiej, którzy dwukrotnie życia swego używają. Zostawszy wdowcem w 68 ym roku życia, będąc ojcem całej gromady dorosłych dzieci, zdołał pozyskać miłość 18-letniej Kreolki cudnej piękności, która, poślubiwszy go obdarzyła go znów pół tuzinem rozkosznych dzieciaków. Historya tego drugiego małżeństwa Lessepsa brzmi jak ustęp z romansu. Odwiedzał on w Paryżu często bardzo pewną znajomą rodzinę i z upodobaniem spędzał czas przy boku urodziwych córek domu, którym opowiadał zajmujące epizody ze swoich podróży. Mówiąc o wycieczkach po Palestynie wspomniał raz, że jako wdowiec, narażony jest śród Arabów na większe niebezpieczeństwa i przeszkody, gdyż nie mogą oni pojąć, jakim sposobem meżczyzna może żyć bez żony. Najpiękniejsza z córek domu zapytała go wówczas dlaczego się nie żeni? „Bo jestem za stary," — odparł Lesseps, — „a mógłbym tylko kochać młodą kobietę; młoda zaś nie zechciałaby mnie." — ,,Kto wie," — brzmiała skromna odpowiedź. Następnie wspomniał Lesseps o własności róż jerychońskich które zasuszone i wstawione do wody rozkwitają ponownie; dziewczę poprosiło o różę taką. Lesseps żądaniu zadość uczynił i po kilku dniach panna, pokazując znakomitemu mężowi rozkwitłą na nowo różę, rzekła: „Widzisz pan cud, jakiego woda dokazała na tej róży, tego samego może dokonać miłość względem starości." Słowa te były aż nadto wymowne. Spojrzenia rozmawiających spotkały się i Lesseps wybuchnął: Jeżeli pani w istocie masz odwagę wyjść za starca — oto moja ręka!" Małżeństwo, tak na pozór niedobrane, stało się jednem z najszczęśliwszych i dzisiaj jeszcze, po latach dziesięciu, kobieta owa, w kwiecie wieku będąca, która towarzyszy wszędzie mężowi, dzieli z nim wszystkie niewygody podróży nawet podczas pobytu w Panamie, — ilekroć Lesseps zabierze głos, z uwielbieniem wpatruje się w oblicze ukochanego starca.

Incognito. Amerling, zmarły niedawno malarz wiedeński, nie lubił dawać lekcyi. Pewnego dnia wchodzi do jego pracowni dama w podeszłym wieku, ubrana w strój podobny do mieszczańskiego i przyprowadzając mu swoją córkę, prosi by mogła zostać przyjętą na naukę.

— „Nie czynię tego z wielką chęcią, odpowiada malarz, i wyznam, że nawet bardzo nie lubię udzielać lekcyi. Jeżeli kto ma talent, pracując, sam się wykształcić może, a jeżeli go nie ma, to także, lepiej jeśli nikt się w to nie miesza. Jednakże, jeżeli córeczka pani pragnie przypatrywać się temu co się tutaj dzieje, może sobie tam w kąciku i sama próbować."

Pomimo tak zimnego przyjęcia, młoda panienka przychodziła codziennie z matką, która przez cały czas bytności w pracowni, siedziała milcząc i robiąc długą pończochę na drutach.

Amerling nie troszczył się wcale ani o matkę ani o córkę. Któregoś dnia zmęczony malowaniem, usiadł odpoczywając obok staruszki, i zaczął z nią rozmowę.

— Daruj mi pani, żem dotąd nie zapytał z kim mam honor... czy pani zamężna?

— Jestem wdową.

— Ile pani ma dzieci?

— Tylko syna i córkę, którą pan widzi.

— Syn pani jest kupcem, czy rzemieślnikiem?

— Nie.

— Urzędnik?

— To zależy...

— Wojskowy?

— Nie zawsze.

— A więc! jeżeli nie jest ani kupcem, ani rzemieślnikiem, ani wojskowym, czemże jest?

— Królem.,.

Amerling sądził, że ma do czynienia z obłąkaną. W tej chwili zaanonsowano jednę z osób z najwyższego dworu, która ujrzawszy ową staruszkę, natychmiast pośpieszyła ją powitać.

Starsza dama była to Marya Krystyna córka Karola, księcia sasko-kurlandzkiego i Franciszki Krasińskiej, małżonka Karola Emanuela, księcia sabaudzko-carigańskiego, a matka króla sardyńskiego Karola Alberta. — Córka jej poślubiła arcyksięcia Rajnera, byłego wicekróla Lombardyi, ojca arcyksięcia Rajnera. Księżna Marya Krystyna wyszła powtórnie za księcia Montleart.

Na wystawie starożytności, gdy ją już ostatecznie urządzano, przybył jakiś poważny mężczyzna i mimowoli członków komitetu, ubawił swojem żądaniem.

Przyniósł on z sobą pudło, z którego z powagą i poszanowaniem wydobył jakieś szczątki atłasowego obuwia.

— To są, proszę panów, buty Kazimierza Wielkiego—zawołał tryumfująco do kilku osób, ze zdumieniem przyglądających się zużytym pantoflom, których pochodzenie nie sięga nawet stu lat.

— A jakież ma pan dowody? — zapytuje któryś z członków.

— Buty zostały znalezione na Wawelu przy odkryciu zwłok Kazimierza Wielkiego, kupiłem je od mularza za 30 guldenów, to chyba dostateczny dowód — powiedział kolekcyonista zupełnie seryo.

Kiedy mu starano się wyperswadować to przekonanie, staruszek starannie schował buty i mru-

cząc coś pod nosem o niedowiarstwie młodych, odszedł wcale nieprzekonany.

* * *

Jeden z księgarzy warszawskich wysłał telegram do księgarni w Wiedniu, z którą zostawał w stosunkach handlowych, żądając przysłania regulaminu austryackiej kawaleryi. Ale telegrafiści mylą się i zamiast Reglement, w telegramie dochodzi następujące żądanie:

— Schicken Sie sofort ein österreichisches kawallerie Regiment.

Księgarz wiedeński przeczytawszy to, zerwał się jak opętany i natychmiast warszawskiemu koledze odpowiedział:

— Życzenia przysłania całego pułku kawaleryi do Warszawy, spełnić nie mogę, udaj się do ministra wojny.

* * *

Jubileuszowa turniura. Jakiś ekscentryczny syn Albionu niezwykłą owacyą postanowił uczcić pięćdziesięcioletni jubileusz panowania swojej królowej. Wymyślił on mianowicie jubileuszową turniurę, która intonuje uroczyście hymn *God save the queen* skoro nosząca ją dama usiądzie. Genialny wynalazca przesłał już jeden egzemplarz turniury takiej królowej do Osborne. Poczciwiec zapomniał tylko, że hymn na cześć królowej może być wykonany jedynie stojący, wymaga tego zwyczaj patryotyczny; muzyczna turniura zaś milknie niezwłocznie skoro właścicielka jej wstaje z siedzenia.

* * *

Przedwczesne powinszowania. Zabawne zajście miało niedawno miejsce na dworze lizbońskim. Rozeszła się wieść, że następczyni tronu, która wkrótce spodziewa się potomka, zasłabła i że przybycie najmłodszego członka rodziny królewskiej spodziewane jest co chwila.

Na wiadomość tę wszyscy dygnitarze państwa przywdziali galowe mundury i udali się do pałacu księcia Braganza dla złożenia powinszowań, lecz jakież było ich zdumienie, gdy przybywszy na miejsce, dowiedzieli się, że następczyni tronu wyszła na spacer.

Jej królewska mość powróciła jednak niebawem a widząc zmieszane miny dyplomatów i ich uroczyste stroje, domyśliła się o co chodzi i uśmiawszy się serdecznie, zaprosiła wszystkich na obiad.

Podczas obiadu jednak przybyli liczni inni dostojnicy z powinszowaniem, tak że następczyni tronu ujrzała się w końcu zmuszoną kazać powiedzieć przez dyżurującego tego dnia wszystkim przybyłym panom, iż jest wprawdzie wzruszona żywym udziałem, jaki panowie ci biorą w jej szczęściu rodzinnem, ale że obecnie zajęta jest jedzeniem, co przeszkadza jej zadość uczynić gorącym życzeniom władz państwa w kwestyi następcy tronu.

Zabawna pomyłka powstała ztąd, iż drukarnia królewska, w przewidywaniu mającego nastąpić faktu, otrzymała do druku tekst zawiadomienia, jakie ma być wysłane do wszystkich urzędowych osób, a zecer jakiś fałszywą nowinę za fakt rozniósł po mieście.

* * *

Dwóch Włochów. Dr. Bargnoni i adwokat Pizzoli jechali kuryerem z Turynu do Bolonii. Posprzeczawszy się w wagonie o politykę, spoliczkowali się najpierw nawzajem, a potem wyzwali się na pojedynek.

Chcąc rzecz całą bez zwłoki załatwić, udali się natychmiast, gdy pociąg stanął w Bolonii, do tamtejszych koszar, wyprosili sobie od komendanta maneż, czterech oficerów za świadków i strzelali do siebie.

D-r Bargnoni odniósł ciężką ranę, która go pozbawiła ramienia. Cała „afera“: kłótnia, policzkowanie, wyzwanie, pojedynek i amputacya ręki trwała tylko godzinę.

* * *

Nieposłuszne dziecię. Dzienniki angielskie przytaczają zabawny fakt, jaki się niedawno zdarzył przed jednym zsądów londyńskich. Stanęła tam 101-letnia Anna Hewish, oskarżając swą 74 letnią córkę Nelly o nieposłuszeństwo i samowolny wyjazd na wieś.

Sędzia z całą powagą odrzekł rozgniewanej matce:

— Sąd pozostawia zawsze możność ukarania nieposłusznego dziecka, zaleca jednak wyrozumiałość na wady młodości, która bywa wietrzną i lekkomyślną”...

OD REDAKCYI.

Z powodu nienadejścia kliszz za granicy we właściwym czasie, do dzisiejszego numeru nie dołącza się jak zwykle dodatku z ubiorami, w następnym zato dwa dodane zostaną.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Апрѣля 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.

Opis do N-ru 18.

(*Dokończenie*).

N. 12 i 13. Płaszczyk długi z dolmanowemi rękawami, dla osoby starszej. Forma na arkuszu z krojami N. XII fig. 73—77.

Model płaszczyka z materyału czarnego wełnianego w grube prążki, na lekkiej jedwabnej podszewce, ubrany był czarną materyą ottoman i takąż wstążką. Od *a* do dołu zeszywa się przody z boczkami, a te ostatnie z plecami od *b* do *c*; przy *c* dodany do szerokości materyał fałduje się i przyszywa od spodu do pleców do gwiazdki. Podszewką objęte brzegi boczków i pleców zeszywają się ze sobą. Rękaw dolmanowy fig. 76, zeszywa się od *h* do *i* oraz od *k* do *l*, pozostałą część niezeszytą składa się w fałdy 8 i 9 i przyłożywszy dwukropkiem do dwukropka przyszywa się na zwierzchniej części rękawa. Przyszycie tych fałd przykrywa mankiet z materyi linijką na formie oznaczony; następnie rękaw wszywa się do płaszczyka, od krzyżyka przez *h*, *e* aż do *b*. Ranwersy fig. 77, podszyte materyą, składa się w fałdy oznaczone liczbą 10 do 11; złączenie dwóch części przykrywa mała kokarda, dalej przyszywa się ranwersy w sposób na ryc. 13 wskazany i wywija podług cienkiej linijki oznaczonej na formie. Do wykroju szyi wszywa się ranwers razem z kołnierzem $4^1/_2$ cent. wysokim, a przednie brzegi płaszczyka i ranwersów obejmuje się materyą. Płaszczyk zapina się na kryte haftki.

N. 14. Sachetka w kształcie muszli, połowa formy i deseń na dodatku z krojami fig. 119.

Trzeba najpierw zwierzchnią i spodnią część sachetki przykroić podług fig. 19, dodając za brzegami deseniu po dwa cent. tektury. Następnie w obie połowy z wewnętrznej strony dać pachnącą watę, pokrytą atłasem miedzianego koloru; z wierzchu obiedwie części cienko podwatować i pokryć białym kaszmirem. Zwierzchnią stronę sachetki zdobi haft płaski, robiony dwunitkową filozelą w kilku kolorach, a kontury odznaczyć nitką złotą. Brzegi obydwóch części oszyć lekko przyfałdowaną, 5 cent. szeroką imitacyą koronki valenciennes, żółtawo wodnego koloru; zwierzchnią stronę oszyć prócz tego sznurkiem jedwabnym miedzianego koloru. W górze dane kokardy z atłasowej $5^1/_2$ c. szerokiej wstążki ciemno i jasno miedzianej, przepięte są 5 cent. długą pentelką z jedwabnego sznurka, łączącą zarazem obie połowy sachetki.

N. 18. Przykrycie na poręcz sofy, albo lambrekina do kominka, haft różno kolorowy. Próbka roboty na ryc. 30 w N. 19, deseń na dodatku z krojami fig. 117—118.

Tło do haftu ryc. 18 na modelu stanowił na przemiany plusz niebieskawo zielony i atłas miedzianego koloru, na tym ostatnim aplikacye wycięte były z sukna niebieskawo popielatego, zaś części deseniu wypadające na pluszu, odznaczone były bez aplikacyi sznureczkiem kręconym z nitki złotej i stalowej, a w środku zapełnione pentelkowym łańcuszkiem ze sznureczka złotego. Na fig. 117 dajemy część deseniu która dalej się powtarza; na fig. 118 dany jest odmienny deseń na zakończenie brzegów poprzecznych, a krzyżyk i dwukropek oznacza miejsce w którem przyłącza się fig. 18. Brzegi aplikacyi przymocowane są ściegiem łańcuszkowym, robionym jedwabiem brązowym; środek zapełniają długie ściegi, robione w jednych arabeskach dwunitkową filozelą drzewnego koloru, w innych niebieską i szafirową. Niektóre figury zapełniają ściegi krzyżowane robione jedwabiem pąsowym i błyszczącym jedwabiem chińskim. Żyłki i kontur gwiazdy odznaczone są sznureczkiem, tło gwiazdy zapełnia ścieg cerowany jedwabiem pąsowym i chińskim; krzyż na środku robiony filozelą niebieską. W zęby wycięty dolny brzeg szlaku 24 cent. szerokiego, zakończony jest wązkim paskiem sukna, zapełnionym pentelkowym łańcuszkiem złotym. W górze dany 8 cent. szeroki, prosty pasek z pluszu miedzianego koloru.

N. 19—21. Kaftanik ranny negliżowy. Robota szydełkowa z włóczki białej i niebieskiej *Taubenvolle*. Model kroju fig. 46.

Podług formy wyciętej z papieru, robotę kaftanika zaczyna się od dołu, robiąc razem przody i plecy aż do wykroju pachy, od którego każdą część wykończa się oddzielnie, a ramiona zeszywa nieznacznie z lewej strony. Brzegi przednie powinny być proste; pod pachą w miejscu oznaczonem linijką na fig. 46, gubić w odstępach podług formy. Szlaczek z włóczki białej i niebieskiej, może być robiony w dalszym ciągu przy kaftaniku, przybierając na rogach. Próbkę tła dajemy na ryc. 19, a szlaczku na ryc. 20. Sznury i pompony z włóczki białej i niebieskiej.

N. 24 i ryc. 9, 13—14 w N-rze 19. Mantylka z pelerynką. Krój na dodatku z formami N. II fig. 10—13, deseń na fig. 58.

Z niezbyt wielkim trudem można nietylko na obranym materyale wyszyć wskazany deseń perełkami, ale nawet naśladować tkaninę z której model był odrobiony, dając wyszycie perełkowe na tle z czarnej jedwabnej grubo nitkowej grenadyny. Pod mantylkę daje się muślin i podszewkę jedwabną; garnirunek stanowi frendzla perełkowa 5 cent. szeroka, koronka chantilly, 15 cent. i kokardy z 5 cent. szerokiej wstążki ottoman. Plastron na plecach, którego forma oznaczona jest linijką na fig. 11, daje się z materyi ottoman; na tej fig. oznaczone jest także miejsce przyszycia pelerynki, którą na ramionach składa się w trzy fałdy, a przy wykroju szyi wszywa się od S do P razem z przodami (fig. 10) w kołnierz stojący fig. 13, zrobiony z materyi albo z perełkowego materyału, z naszytem na górnej części drobnem plisowaniem z koronki 2 cent. szerokiej. Układ koronki sfałdowanej z tyłu do 7 cent. szerokości, a z przodu poniżej wcięcia w pasie do 4 cent., widoczny jest na ryc. 24 i na ryc. 9 w N-rze 19. Baskinę przy plecach układa się ze 160 cent. koronki sfałdowanej i naszytej w trzy rzędy, jeden na drugi zachodzące. Ażeby mantyla przystawała do figury, przyszywa się od spodu do podszewki wzdłuż cienkiej linii na fig. 10 i 11, taśmę elastyczną 4 cent. szeroką.

N. 25. Stanik z fałdowaną szmizetką dla starszej osoby.

Stanik z baskiną zapinany na haftki, jest z przodu głęboko, okrągławo wycięty i dopełniony szmizetką z surah, tego co wełniany materyał sukni, albo odmiennego koloru, złożoną na środku w kontrafałdę 5 cent. szeroką, a z boków w fałdy plisowane. Kontrafałdę zdobią brązowe guziczki, a brzeg wykroju stanika oszyty jest brązowemi perełkami. Mankiety z materyi takiej jak szmizetka; kokardy ze wstążki odpowiedniego koloru. Czepeczek zobaczyć na ryc. 26.

N. 26. Czepeczek koronkowy dla osoby starszej.

Czółko ze sztywnego tiulu oszyte drucikiem zakończone w ząb nad czołem, mające 9 cent. środkowej, 1 cent. brzeżnej szerokości, 40 cent. z przodu, a 28 cent. długości w brzegu tylnym, pokryte było z wierzchu czerwonawo fijoletowym aksamitem a od spodu podszyte materyą takiegoż koloru. Kawałek 136 cent. długi, czarnej, 12 cent. szerokiej koronki chantilly, przymarszcza się i oszywa w koło czółka w całej szerokości przy końcach szpiczasto ściętych, a wązko tylko wypuszcza przy zębie nad czołem. Poprzeczne brzegi szczepione są ze sobą z tyłu na środku. Ubranie z przodu stanowi 80 c. długi kawałek koronki i 4 pukle aksamitne 8 c. szerokie.

N. 27—28. Okrycie krótkie zrobione ze wstążki i torsad perełkowych. Krój N. III fig. 14—16.

Model odrobiony był z 5 c. szerokiej wstążki repsowej i $5^1/_2$ cent. szerokich torsad perełkowych, naszytych na fasonie z muślinu; niemniej ładne będzie okrycie zrobione z dwóch odmiennych rodzai wstążek, np. z aksamitnej i *moiré antique*. Fason wykrojony podług formy z muślinu zeszyć oddzielnie; następnie naszyć najpierw podług wskazujących linii, wstążkę na przodach i rękawach w ten sposób, ażeby końce złożone w dwa pukle po 6 cent. długie, za brzeg dolny wystawały. Na plecach wstążki u dołu zwężające i schodzące się z sobą, dochodzą tylko do linii oznaczającej wcięcie w pasie. Próżne miejsca pomiędzy pasami wstążek, zapełniają torsady z perełek, które podług wymagań formy, są więcej odsunięte lub schodzą się wązko, w sposób wskazany na ryc. 28. Pasy z torsady zakończone są frendzlą perełkową 8 cent. szeroką, spadającą zarówno jak i pukle ze wstążki, na 16 cent. szeroką koronkę *chantilly*, w kontrafałdy z odstępami złożoną i do brzegu muślinowego fasonu przyszyta. Fałdowana baskina przy plecach jest z koronki. Nakoniec daje się pod okrycie podszewkę jedwabną, a od W do Y, na wcięciu w pasie przyszyć taśmę jedwabną elastyczną, 2 cent. szeroką. Kołnierz stojący 5 cent. wysoki, ogarnirowany plisowaniem z $1^1/_2$ c. szerokiej koronki pokryty jest torsadą.



N. 1. Płaszczyk z przemarszczeniem. Patrz r. 11 i ryc. 3. Krój na arkuszu N. V, fig. 25—30.

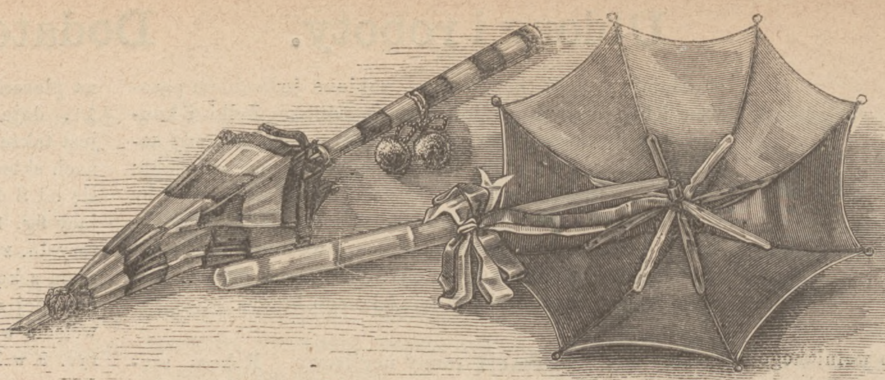
N. 2. Suknia z vêtement i mantylką. Patrz ryc. 9. Krój i spódnica i deseń na ark. N. XVIII, f. 108-114.

N. 29 i 22. Kołdra od kurzu w powozie albo do podróży.

Na modelu tło z szarego nicianego buretu, 144 cent. długie a 86 cent. szerokie, zakończone było z brzegów szlakiem 18 cent. szerokim, z pluszu wełnianego ciemno brązowego. Tło zdobią robione oddzielnie szydełkiem kwiaty, z ciemno brązowej włóczki angielskiej które w odstępie 24 cent. w rzędach mijających się, przyszyte są nieznacznie do tła, lewą stroną do wierzchu, ozdobione wyszyciem z nitki złotej. Każden kwiatek zaczyna się kółkiem z 7 o. obrobionem 14 słupkami i 13 listkami zaczynanemi łańcuszkiem 12 o. pow. w które opuściwszy 3 o. górne robić 6 słup. 1 półsłup., 2 o. śc. i 1 o. łańcuszkowe w następny słup. Po skończeniu 13 listka dorabia się łodyżkę z dwoma listkami, której dokładny wzór przedstawia r. 22.



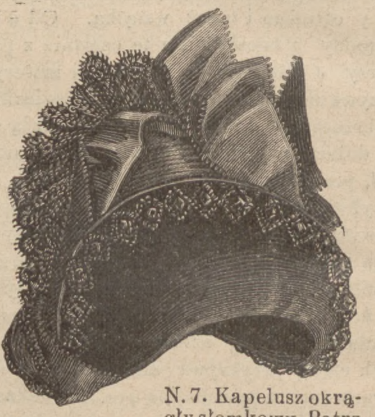
N. 3. Grelotki szmuklerskie do płaszczyka ryc. 1 i 11.



N. 4—5. Parasoliki powozowe składane.



N. 6. Kapelusz okrągły bastowy. Patrz ryc. 11. w N-rze 19.



N. 7. Kapelusz okrągły słomkowy. Patrz ryc. 12 w N-rze 19.



N. 8. Suknia ze stanikiem z baskiną, dla osoby starszej. Patrz r. 41 w N 19. Krój i opis na ark. N. X, fig. 59—67.

N. 9. Suknia z vêtement i mantylką. Patrz ryc. 2.

N. 10. Suknia z przybraniem w kształcie karczka. Patrz r. 11 w N. 19. Krój, przód, pasmanterya i opis na ark. N. IV, fig. 17—24a.

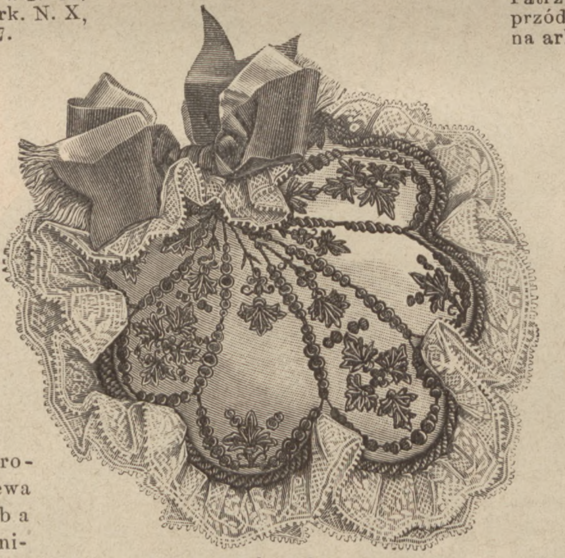


N. 11. Płaszczyk długi z przemarszczeniem. Patrz ryc. 1 i 3. Krój na arkuszu N. V, fig. 25—30.

N. 30. Wachlarz do powozu. Malowanie wypalane na drzewie. Desenie na dodatku z krojami fig. 51—52.

Do wypalania deseniu na drzewie służy sztyft platynowy rozgrzany do czerwoności nad parą z benzyny. Jeżeli przedmiot wyrobiony jest z drzewa miękkiego, trzeba sztyft rozpalony dość prędko przesuwać po rysunku, ażeby uniknąć przedziurawienia albo zbyt głębokiego wypalenia. Wypalanie można połączyć z malowaniem farbami wodnemi. Na wachlarzu jagody są czerwone a ptaki różno kolorowe.

N. 31. Poduszka skórzana do powozu. Deseń otrzymuje się przez zdzieranie powierzchni z safianu. Szczegółowy opis podawaliśmy w r. 1881 i 1882, ¼ część deseniu daje fig. 50 na arkuszu.



N. 14. Sachet w kształcie muszli. Deseń na arkuszu fig. 119.



N. 15—17. Parasoliki en-tout-cas (na ryc. 17 futerał).

N. 33—34. Suknia z paletocikowym stanikiem dla dziewczynki lat 6—8. Spódnica z boku i z tyłu patrz na fig. 53. Krój podług formy do ryc. 7 w N-rze 19.

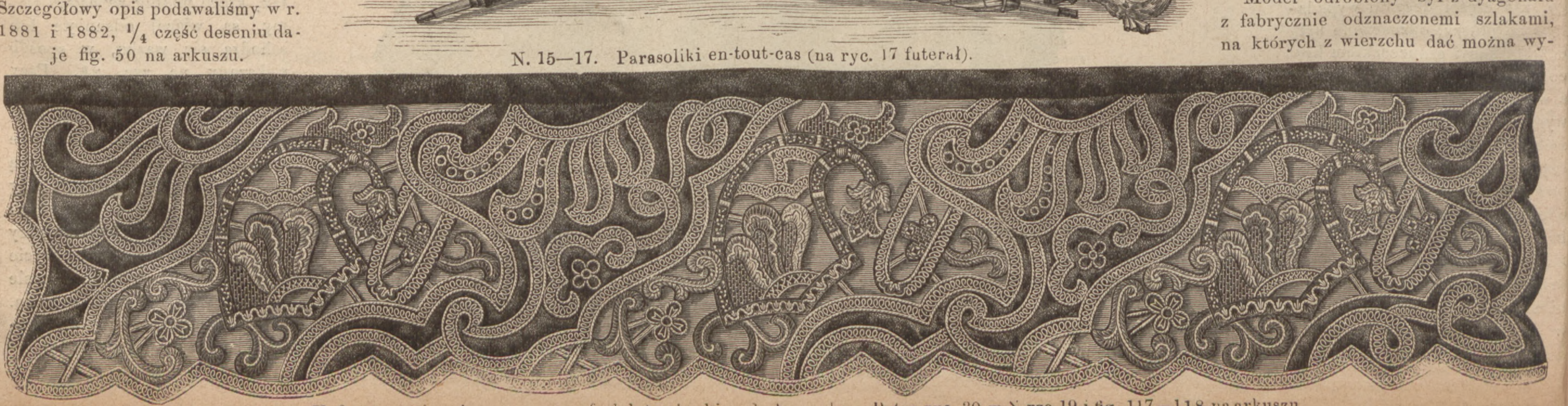
Wyżej wzmiankowana forma służyć może do ryc. 33 i 34, przy zaprowadzeniu małych, widocznych zmian. Model odrobiony był z materyału wełnianego w kratkę niebieską, na tle białem i z materyału gładkiego szafirowego. Pod otwarty paletocik z materyału gładkiego, z ranwersami, kołnierzem i mankietami w kratkę, dodany był długi, fałdowany, z boku zapięty plastron, z kawałka materyału w kratę, trzymającego 46 cent. długości i szerokości. Fałdy schodzące się w środku plastronu i z boku na spódnicy, spojone są wyszyciem którego próbkę dajemy na ryc. 38. Ranwersy mające 9 cent. górnej szerokości, zdobią guziczki złocone. Pod otwarte na 9 centym. od dołu szwy pleców, podszyta jest 24 cent. szeroka część fałdowana z materyału w kratę. Spódniczka odrobiona była z obydwóch materyałów; środek przodu stanowiła 14 cent. szeroka podwójna kontrafałda, z 50 cent. szerokiego kawałka materyału w kratę, przy której z boków dane do środka złożone kontrafałdy gładkie. Za temi znów idą kontrafałdy w kratę i bryt tylny w górze zmarszczony z materyału gładkiego.



N. 12—13. Płaszczyk z dolmanowemi rękawami dla starszej osoby. Krój na arkuszu N. XII, fig. 73—77.

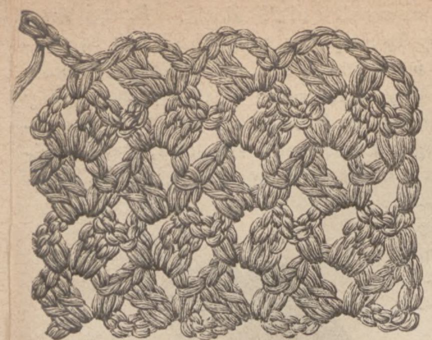
N. 39—40 i ryc. 24 w N-rze 19. Sukna z vêtement dla panienek lat 12—14. Krój N. XIV fig. 86—88.

Model odrobiony był z dyagonalu z fabrycznie odznaczonemi szlakami, na których z wierzchu dać można wy-

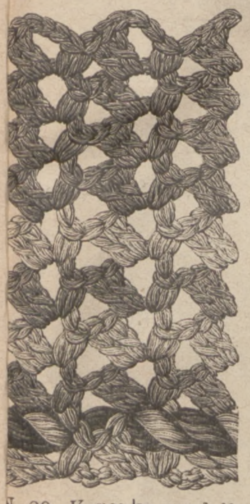


... Patrz ryc. 30 w N-rze 19 i fig. 117—118 na arkuszu.

szycie z cienkiej włóczki smyrneńskiej, przeszywanej przez wierzch jedwabiem. Fig. 88 daje formę gładkiej podszewki pod plecy, z oznaczeniem cienką linij ą szerokości zwierzchniego materyału, złożonego na środku w kontrafałdę 8 cent. szeroką. Podszewkę pod plastron z boku zapinany pokrywa się atłasem w górze przemarszczanym, z boków zakończonym złożonym w fałdy, 24 c. szerokim kawałkiem surah. Cienkie linijki oznaczają przyszycie z boku zapinanej spódniczki, 60 cent. długiej a 242 szerokiej. Pasek skrzyżowany z przodu 4 cent. szeroki; kokardy ze wstążki 6 cent. szerokiej. Guziczki metalowe ażurowe; kołnierz i mankiety 5 cent. szerokie.



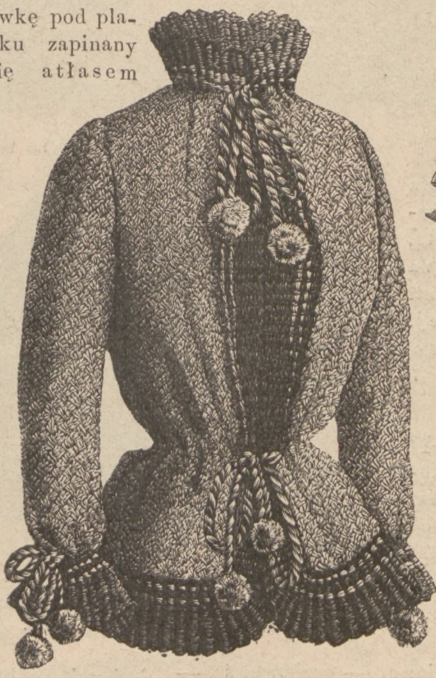
N. 19. Tło szydełkowe do ryc. 21. Patrz ryc. 20.



N. 20. Koronka szydełkowa do kaftanika ryc. 21.



N. 22. Korzonek i listki szydełkowe do ryc. 29.



N. 21. Kaftanik ranny robiony szydełkiem. Patrz ryc. 19—20 i krój na arkuszu N. IX, fig. 46.



N. 23. Okrycie z dolmanowemi rękawami dla osoby starszej. Patrz r. 42 w N. 19. Krój na ark. N. XI, fig. 68-72.



N. 24. Mantylka pelerynowa. Patrz ryc. 9 w N. 19. Krój na arkuszu N. II, fig. 10—13.



N. 2 . Stanik z fałdowaną szmizetką i ubranko dla osoby starszej. Patrz ryc. 26.



N. 26. Ubranko dla osoby starszej. Patrz r. 25

Opis do N-ru 19.

N. 1—6. Kapelusze dla dzieci.

Na tych sześciu rycinach daliśmy kilka modeli letnich kapeluszy ze słomki białej lub kolorowej, dla dzieci; do przybrania służy wstążka atłasowa 9 cent. szeroka, wstążka z brzegiem w pikoty 7 cent. szeroka; repsowa granatowa w białe tarcze opasuje fasonik marynarski, stosowny zarówno dla chłopczyka lub dziewczynki. Fasonik z piaskowej słomki dla chłopczyka opasany wstążką z pikotami $5\frac{1}{2}$ cent. szeroką w dwóch kolorach: pąsowym z granatowym spodem. Dla małych dzieci noszonych na ręku używane są kapotki z materyi jedwabnej białej lub kolorowej, albo z kaszmiru, podgarnirowane riuszą i przybrane z wierzchu puklami z wązkiej wstążki. Do strojniejszych kapeluszy dziecinnych dodają strusie piórka.

N. 7. Sukienka z długim stanikiem, dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 42 w N-rze 18. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 40—45.

Rycina 7 przedstawia sukienkę z materyału wełnianego bordeaux gładkiego i w kratkę białą, zaś na ryc. 42 w N-rze 18 podalismy takąż sukienkę z materyału niebieskiego gładkiego i w paski białe z niebieskim. Figury 40—44 dają formę stanika w którym zaszewki przednie dane są tylko w podszewce a materyał zwierzchni rozciąga się gładko. Kamizelka przyszyta do lewej połowy przodu, od dwukropka do gwiazdki, z drugiego brzegu zapinana na kryte haftki, ma gładką podszewkę przykrojoną podług fig. 40; linie proste wskazują przemarszczenie materyału 33 cent. szerokiego. Spódniczka z materyału deseniowego 46 cent. długa, 252 cent. szeroka, zaplisowana w fałdy 4 cent. szerokie, przykryta z wierzchu drugą z gładkiego materyału, tylko 33 cent. długą, 193 szeroką, z przodu przymarszczoną z tyłu złożoną w dwie 5 cent. szerokie kontrafałdy, z prawego boku szeroko otwartą. Na przyszyciu spódniczki do stanika opasany gruby sznur wełniany z pomponami; na mankiecie linia prosta odznacza szpiczastą patkę, która dana jest z pluszu, jak i kołnierzyk.

N. 10. Kapotka słomkowa z denkiem z perełek. Deseń fig. 54.

Rondko i boki główki są z grubej białej słomki, denko zaś z czarnego tiulu, wyhaftowane bogato perełkami czarnemi; fig. 54 daje deseń wyszycia. Tiul na tło jest usztywniony gumą lub żelatyną; przybranie kapelusza stanowi wstążka niebieska z pikotami 8 c. i jasno żółta 6 c. szeroka; z boku dany bukiecik róż żółtych i pączków z pąs. środkami.

N. 12. Suknia z krótkim stanikiem.

Krój stanika dopasować można podług formy do ryc. 11; stanik z granatowego



N. 27—28. Okrycie krótkie z wstążki i torsady. Krój na arkuszu N. III, fig. 14—16.

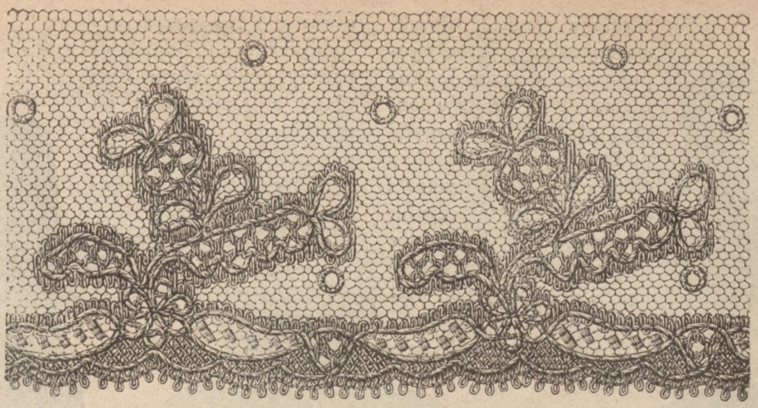


N. 29. Kołdra podróżna lub przykrycie do powozu. Patrz r. 32. N. 30. Wachlarz drewniany powozowy. Patrz deseń fig. 51—52. N. 31. Poduszka skórzana do powozu. Deseń patrz fig. 50.

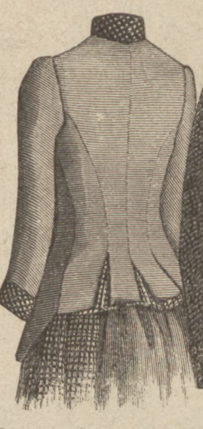
dyagonalu, zapięty jednym rzędem guzików, ma pod szyją głębszy wykrój, dopełniony szmizetką z deseniowego fularu z kołnierzykiem stojącym i gładką krawatką. Wykrój szyi w staniku wszyty w stojący kołnierzyk 5 cent. szeroki; od szwów bocznych do drugiej zaszewki dana prosta patka, służąca za kieszonkę do zegarka, ozdobiona guziczkiem z odznaczoną tylko dziurką; w podobny sposób dane zapięcie przy środkowym szwie rękawa i przy karoczku z tyłu, naszyte na plisce 2 cent. szerokiej. Kapelusz patrz ryc. 7 w N. 18.



N. 33. Ubranie dla panienki lat 6—8. Patrz ryc. 34 i fig. 53.



N. 32. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 34. Plecy do ryc. 33.



N. 35. Przód kaftanika ryc. 36.

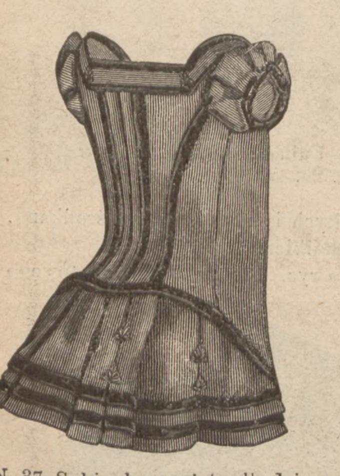
N. 15—17 i 29. Przykrycie na poręcz od krzesła. Robota szydełkowa i wyszycie.

Skrócenia: o. — oczko; o. śc. — oczko ściśle; o. pow. oczko powietrzne albo łańcuszkowe; węzł. znaczy węzeł nawijany, na który trzeba nitkę roboczą trzy razy nawinąć na szydełko, przez odpowiednie oczko przeciągnąć pentelkę poczem wszystkie nitki będące na szydełku przerobić jednem oczkiem.

Przykrycie składa się najpierw z czterech rzędów kwadratów, za rogi łączonych z sobą odrobionych szydełkiem z piaskowej bawełny macramé; odstępy próżne między kwadratami zapełniają się rozetami ze szneli i nitki złotej. Szydełkowe kwadraty robią się naprzemian z oczek ścisłych i z węzłów; na te ostatnie trzeba robić łańcuszek 14 o. pow., przy którym przerabia się sześć rzędów; każdy rząd zacząć 2 o. pow. poczem idą naprzemian 1 węzł. i 1 o. pow.; w pierwszym rzędzie zaczepia się węzły co drugie o. pow., w następnych rzędach w każde o. pow. Kwadraty z o. śc. zaczynają się łańcuszkiem z 11 o. i liczą po 12 rzędów, w których zajmuje się za górne nitki oczka; z wierzchu dane siatkowe wyszycie ze szneli i nitki złotej. Brzegi kwadratów połączonych z sobą obrobione są ząbkami z 5 o. pow. i 1 o. śc. (z każdego boku wypada trzy całe ząbki i czwarty zaczepiony w brzeg drugiego kwadratu), za które następnie zaczepiana jest rozeta sznelowa, jak to widzimy na ryc. 29, w małem zmniejszeniu. Każda rozeta składa się z jednego obrobienia z węzłów sznelowych, liczących po siedm nawinięć na szydełko, zaczepianych kolejno na ząbki i z obrobienia środkowego ze słup. z nitki złotej. Przykrycie obrobione jest w około ząbkami z węzł. nawijanych i o. pow., zakończonemi grelotkami, podług ryc. 16. Na każdą grelotkę zrobić 4 ocz. pow. i w pierwsze z nich zająć 9 sł. po złączeniu pierwszego słup. z ostatnim zbiera się górne oczka na nitkę, ściąga do środka i dodaje pentelkę z węzłów.



N. 36. Kaftanik dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 35. Krój i opis na ark. N. XV, fig. 89—92.



N. 37. Sukienka wycięta dla dziecka lat 2—3. Krój i opis na arkuszu N. VII, fig. 35—39. Patrz ryc. 38.



N. 38. Wyszycie na złożeniu fałd. Patrz ryc. 37.



N. 39—40. Suknia z vêtement dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 24 w N-rze 19. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 86—88.

N. 41. Suknia z kaftanikowym stanikiem dla młodej panienki. Patrz ryc. 36 w N 19. Krój i opis na ark. N. XIII, fig. 78 85a.

N. 18 i 28. Szmizetka z aplikacyą. Krój i deseń na arkuszu N. XIX, fig. 115—116.

Rycina 18 przedstawia szmizetkę z ciemno pąsowej satynki, ozdobioną aplikacyą ze złotej skórki; na tej ostatniej trzeba najpierw z lewej strony narysować deseń fig. 115 daje połowę deseniu szmizetki a fig. 116 dopełnia deseń kołnierzyka, dany w naturalnej wielkości na ryc. 28. Następnie trzeba starannie wyciąć deseń i przyłożyć go na szmizetce, podłożonej sztywnym muślinem; dla większej akuratności w układzie trzeba deseń narysować i na satynce; naklejać skórki złotej nie można, bo łatwoby ją poplamić. Przyszycie aplikacyi dane drobnemi ściegami cieniutką nitką; kontury obwiedzione ściegiem sznureczkowym czarnym jedwabiem; łodyżki oznaczone podwójnie wziętą nitką złotą przyszytą przez wierzch.



N. 42. Suknia z długim stanikiem dla dziewczynki lat 6—8. Patrz ryc. 7 w N-rze 19. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 40—45.

(D. n.)